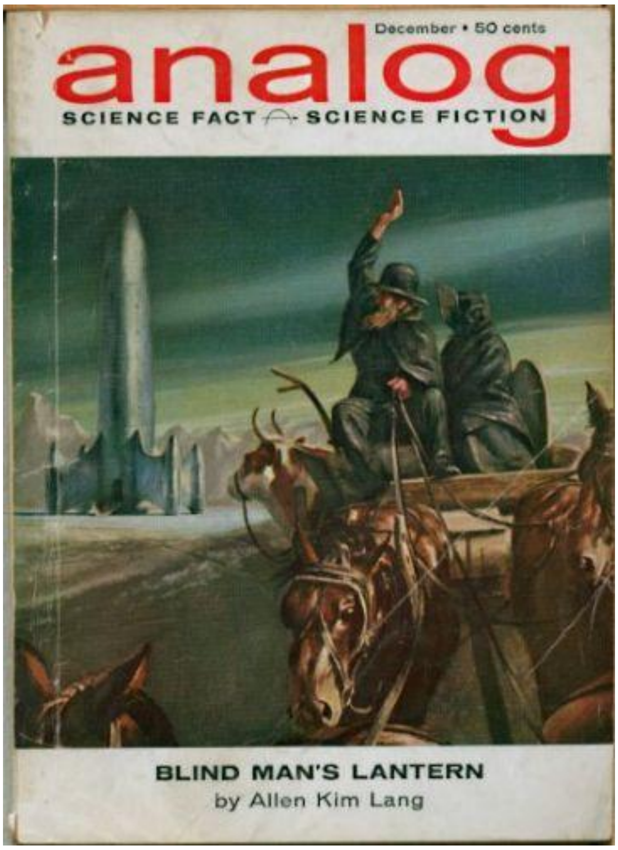

December • 50 cents
analog
SCIENCE FACT SCIENCE FICTION
BLIND MAN'S LANTERN
by Allen Kim Lang

Tom Godwin

… i okrężna droga obowiązku

(…and Devious the Line of Duty)

Analog Science Fact and Fiction, December 1962.
Ilustracje: Martinez.
Oryginał tekstu i ilustracje zaczerpnięto z wydania Projektu Gutenberg.



Czasami najważniejszą i najbardziej lojalną rzeczą, jaką może zrobić stary człowiek jest obijanie się, picie piwa i pozwolenie młodym ludziom, aby pakowali się w kłopoty…

– **J**uż prawie jesteśmy na miejscu, chłopcze – wielki, siwowłosy facet, który miał być zwierzchnikiem porucznika Dale’a Huntera — agent specjalny Służb Strategicznych, George Rockford — otworzył kolejną puszkę piwa, chyba już swoją piątą. – Kiedy nasz helikopter wyląduje, będą tam już szaleć niezłe intrygi. Z pewnością wkrótce pójdą za tym próby zabójstw. Kiedyś to był dla mnie chleb powszedni. Teraz ty będziesz, no może nie chlebem powszednim, ale świeżym mięskiem dla kolejnych graczy.

Mówiąc to Rockford uśmiechał się dobrotliwie; wesołym, ujmującym uśmiechem czułego starego ojca. Ale otoczone fałdkami uśmiechu oczy, były równie łatwe do odczytania co dwa ciemnoszare twarde kamienne dyski. Oczy pokerzysty, albo najwyższej klasy oszusta.

– Nie rozumiem pana, sir – powiedział Hunter.

– Oczywiście, że mnie nie rozumiesz – zgodził się z nim dobrodusznie Rockford. – Jesteśmy sto lat świetlnych od Ziemi. Tutaj, na Veście, żebyśmy wszyscy mogli być pewni, że w przyszłości Ziemia będzie istnieć dalej, będziesz musiał robić takie rzeczy, o jakich się nawet nie śniło twoim instruktorom z Terrańskiego Patrolu Kosmicznego. Jeszcze się napatrzysz, mój chłopcze.

Hunter nic nie odpowiedział, ale czuł jak narasta w nim niechęć do protekcjonalnego Rockforda. Przecież nie dalej jak kilka tygodni temu, osobiście sam prezydent Diskar powiedział: *Od ponad stu lat ci niesłychanie dzielni ludzie z Patrolu Kosmicznego stanowią niewzruszoną ostoję naszych zewnętrznych rubieży; walczyli i ginęli tysiącami po to aby Ziemia i inne światy Republiki Terrańskiej mogły cieszyć się wolnością…*

– Przypuszczam, że zdajesz sobie sprawę z tego – tłumaczył dalej Rockford, – że będziemy mieli co najwyżej cztery dni, w czasie których musimy powstrzymać oligarchów Verdam, przed realizacją ich od dawna hołubionych marzeń i planów, że staną się na tyle potężni, aby mogli połknąć Republikę Terrańską.

– Tak, wiem – odparł Hunter.

Kluczem całej sytuacji był Jardeen, świat satelitarny Vesty. Jardeen był duży i silny, a jego flota kosmiczna była potężniejsza niż któregokolwiek z innych pojedynczych zamieszkałych światów. Za jego przewodnictwem podążała ponadto spora grupa innych planet, obecnie neutralnych. Sojusz Jardeena z Ludowymi Światami Verdam, mógł oznaczać rychły koniec Republiki Terrańskiej. Gdyby jednak Jardeen dał się przekonać do przymierza z Republiką Terrańską, rozpościerające się dokoła i gotowe do miażdżącego uścisku ramiona verdamskiej ośmiornicy, zaczęłyby z wolna usychać i słabnąć…

Rockford kontynuował rozpoczętą myśl:

– Człowiekiem, od którego tak naprawdę zależy decyzja Jardeena, jest Val Boran, Sekretarz do spraw Stosunków Zagranicznych rządu tego państwa. Znam go co nieco. Ponieważ oficjalnie pełnię również funkcję ambasadora, zgodził się więc — chociaż dużą niechęcią — przybyć na Vestę, tak aby rozmowy mogły toczyć się na neutralnym świecie. Razem z nim przybędzie Specjalny Emisariusz rządu Verdam, Sonig; podstępny mały człowieczek, który już od kilku tygodni pracuje nad Boranem. Wydaje się niestety, że całkiem nieźle mu idzie — proszę, tutaj jest wiadomość, którą dzisiaj wczesnym rankiem otrzymałem z Ziemi.

Rockford wręczył mu zielony blankiet Wiadomości Hiperprzestrzennej. Jej treść była zakodowana, jednak pod spodem Rockford nabazgrał jej pośpieszną transkrypcję:

> *Służby wywiadowcze informują, że siły Verdam dokonały już koncentracji przed atakiem w Sektorze A-13 i w pełnej gotowości oczekują już tylko na ostateczne zawarcie sojuszu z Jardeen. Antyterrańska propaganda nieustannie akcentuje kwestię incydentu z New Jardeen, przygotowując podłoże do czegoś, co określają jako „defensywną akcję, mającą na celu ochronę niewinnych światów przed terrańską agresją". Przewaga nad siłami terrańskimi będzie wynosiła ponad pięć do jednego. Podjęcie przez pana natychmiastowych i udanych akcji równoważących na Weście, staje się krytycznie istotne i pilne.*

Kiedy Hunter oddawał kartkę, przez głowę przemknęła mu myśl: *Sytuacja jest dużo gorsza niż ktokolwiek z nas wcześniej się spodziewał*, zastanawiał się równocześnie jak Kwatera Główna w ogóle mogła

powierzyć tak istotne zadanie, takiemu staremu piwożłopowi ze Służby Strategicznej — pionu tak mało znanego, że on sam nigdy nawet o niej nie słyszał, aż do czasu swojej odprawy, na dzień przed odlotem z Ziemi.

Zobaczył za oknem, że pustynia została już za nimi i lecieli teraz pod górę, na wprost długiego górskiego zbocza.

– Czy spotkanie odbędzie się na tej górze? – zapytał.

Rockford skinął potwierdzająco głową.

– Wiejska Rezydencja Królewska. Naszą gospodynią będzie księżniczka Lyla. Jej matka i ojciec zginęli rok temu w katastrofie samolotowej, a ona była ich jedynym dzieckiem. Spotkamy tam również Lorda Narfa, z Wysp Morskich, jej męża przez pośrednika. Ten facet uważa się za nadzwyczajne połączenie pożeracza niewieścich serc, o uroku nie do odparcia, z szorstkim twardzielem w stosunku do mężczyzn.

– Mąż przez pośrednika? – zapytał Hunter.

– Król kochał córkę nad życie i jego ostatnim życzeniem było, aby zgodziła się poślubić Lorda Narfa. Ojciec Narfa był najlepszym przyjacielem króla, i król był pewien, że syn jego starego przyjaciela zawsze będzie kochał i troszczył się o Lylę. Lyla, sumiennie wypełniając wolę ojca, natychmiast poślubiła Narfa za pośrednictwem pełnomocnika, co oznacza legalnie wiążący formalny akt zaręczyn, określony w prawodawstwie Vesty. Za cztery dni, od dzisiaj, mija limit czasu, i staną się oboje formalnie małżeństwem. No, chyba że, ona zdecydowałaby się na akt bez precedensu w całej historii Vesty i wyrzekła się małżeństwa przez pośrednika.

Rockford wysączył resztki piwa z trzymanej w ręku puszki.

– To są dramatis personae, jakie spotkamy na deskach naszego przedstawienia. Mam pewien plan. Właśnie dlatego poprosiłem Patrol Kosmiczny o przydzielenie mi świeżutkiego podporucznika — młodego, silnego, dziarskiego i dosyć przystojnego… oraz takiego, którego można w razie czego spisać na straty.

– Sir – powiedział Hunter, nie będąc w stanie usunąć z głosu śladu pewnego formalizmu, – w Patrolu Kosmicznym, nie jest jakimś specjalnym sekretem, że człowiek musi być gotów zginąć, wypełniając swoje obowiązki.

– Ach… tak, tak. – Rockford odnosił się do niego z trudnym do zniesienia cieniem kpiny. – Myślisz oczywiście o niesłychanie dramatycznej śmierci w wyniku widowiskowej wymiany ognia, z efektownie rozbłyskujących blasterów. Wkrótce jednak się dowiesz, mój chłopcze, że obowiązkiem żołnierza jest ochrona reprezentowanych przez niego planet, przy pomocy wszelkich możliwych do podjęcia działań, jakie mogą dać stosowne wyniki. I mało istotne jest jak bardzo mogą one się różnić, od twoich romantycznych wyobrażeń o heroicznych czynach.

****

– Proszę o chwilę uwagi – usłyszeli głos pilota. – Niedługo podchodzimy do lądowania.

Hunter wyprzedził Rockforda, pierwszy wyskakując z helikoptera na zieloną trawę, porastającą niewielką górską dolinę, urozmaicaną poprzez porozrzucane tu i ówdzie wysokie drzewa o czerwonych pniach, nazywane drzewami chmurzastymi. Pomiędzy nimi gęsto rosły bladoszare drzewa widmowe, o sękatych, poskręcanych odnogach. W pobliżu stała grupa wiejskich domków, połączonych żwirowymi alejkami, a wśród nich dominował większy budynek, który jak się domyślał, zapewne był gmachem spotkań.

– Cześć.

Odwrócił się i spojrzał prosto w brązowe oczy dziewczyny. Jej zielona spódnica i pomarańczowa bluzka stanowiły żywe uderzenie kolorów, w połączeniu z czerwonobrązowymi włosami rozwianymi przez wiatr i swobodnie opadającymi wokół ramion. W ręku trzymała bukiet jasnych wiosennych kwiatów.

Ciemne oczy nie okazywały jednak nawet cienia uśmiechu wiosny, a mała twarz z zadartym noskiem była poważna i wyglądała na dużo starszą niż w rzeczywistości.

– Pan to zapewne porucznik Hunter – zapytała tym samym niskim, pewnym głosem.

– Księżniczka Lyla! – W głosie, śpieszącego w ich kierunku Rockforda zabrzmiał niekłamany zachwyt. – Z każdym dniem wyglądasz coraz bardziej jak królowa!

Jej twarz rozjaśniła się w uśmiechu, nagle stając się młoda i piękna.

– Tak się cieszę, że znów cię widzę, George…

– Ach… dzień dobry.

Nowy głos, który wypowiedział te słowa, był głośny i nieprzyjemnie drażniący. Odwrócili się i Hunter zobaczył wysokiego barczystego mężczyznę, mniej więcej około czterdziestki, którego niby to przyjazny uśmiech zupełnie nie pasował do kwaśnej twarzy o dużej kwadratowej szczęce i chłodno kalkulujących małych oczach.

Powiedział do Rockforda:

– Jak sądzę, pan nazywa się Rockford i jest pan ambasadorem reprezentującym tutaj Republikę Terrańską. – Skłonił głowę w kierunku księżniczki Lyli, która przestała już się uśmiechać. – Moja żona, księżniczka Lyla.

– Och, księżniczka i ja jesteśmy przyjaciółmi, odkąd skończyła dziesięć lat, lordzie Narf.

– A ten młody człowiek – Narf popatrzył chłodno na Huntera – jest, jak mniemam, pańskim pomocnikiem. Lyla, czy pomyślałaś, żeby wysłać kogoś po bagaż panów?

Służący już wcześniej przyniósł z helikoptera ich rzeczy osobiste — oraz skrzynki z piwem Rockforda. Hunter ruszył za pozostałymi w kierunku domków. Prowadzący ich Narf, powiedział:

– …Obecnie jest tutaj zabawnie prymitywnie, ale posłałem już do mojej posiadłości na Morskiej Wyspie, po kilka przyzwoitych mebli i paru dobrze wyszkolonych służących…

****

Domek był bardzo duży i wygodny, o czym Rockford nieomieszkał natychmiast wspomnieć księżniczce Lyli.

– Cieszę się, że ci się tutaj podoba – powiedziała. – Boran Val i emisariusz Sonig już u nas są, spotkamy się przy obiedzie w środkowej sali. Miałam nadzieję, że jeśli wszyscy poznamy się lepiej, w takiej przyjaznej atmosferze, jaka tutaj panuje, być może to w czymś pomoże…

– To mi coś przypomniało – Narf zerknął na swój zegarek. – Obiecałem temu Boranowi chwilę rozmowy, na temat polityki celnej między Vestą i Jardeenem. Przypuszczam, że już na mnie czeka. Chodź ze mną, Lyla. Nie zaszkodzi ci trochę posłuchać i dowiedzieć się czegoś na temat polityki międzyplanetarnej.

Przez dłuższą chwilę spoglądała w milczeniu na Narfa zamyślonymi oczyma, następnie powiedziała do Rockforda:

– Jeśli mi wybaczysz. I bądź gotów na to, że kiedy tylko Alonzo dowie się, że tutaj jesteś, przybiegnie do ciebie w te pędy.

Ruszyła obok Narfa w stronę drzwi i wyszli razem. Czubek jej ciemnych włosów sięgał mu mniej więcej do ramienia.

– I to właśnie – powiedział Rockford, rozsiadłszy się wygodnie w największym i najbardziej miękkim fotelu, – ma być przyszły król Narf, którego zdolności do interesów są tak ogromne, że stracił wszystkie swoje dziedziczne posiadłości na Morskiej Wyspie, za wyjątkiem jednej, uratowanej dla niego przez Lylę, i który jest winien w sumie kwotę dziesięciu milionów tutejszych jednostek monetarnych, dosłownie wszystkim, od dziewczynek na telefon, po budowniczych jachtów.

– I ona go naprawdę za niego wyjdzie? – zapytał Hunter. – Poślubi tego osła i pozwoli mu doprowadzić swoje królestwo do bankructwa?

Rockford wzruszył ramionami.

– No cóż, jak sam mogłeś zauważyć, nie wygląda na nawet odrobinę szczęśliwą, z tego powodu — ale jest bardzo sumienną młodą damą, która uważa za swój obowiązek, aby dotrzymać obietnicy, jaką złożyła swojemu ojcu. Dla niej, nie ma żadnej innej drogi wyjścia.

– Ale…

– Twoim podstawowym obowiązkiem będzie pielęgnowanie przyjaźni z nią. Aby dostać to co chcę, muszę wykorzystać i ją, i ciebie.

– *Wykorzystać* nas?

– Tak. Jedną z najważniejszych zasad ludzi ze Służby Strategicznej, jest to, że zupełnie, kompletnie nie ma żadnych zasad.

****

Godzinę później, Rockford spał już w swoim fotelu, a przed nim stały trzy puste puszki po piwie. Hunter obserwował go uważnie, jego wątpliwości co do kompetencji Rockforda, powoli zaczęły przeradzać się w przekonanie. Rockford ze znajomością rzeczy twierdził wcześniej, że ma plan, a następnie nie zrobił kompletnie nic, poza wypiciem kilku kolejnych piw. Teraz siedział i spał, podczas gdy czas — tak przecież ograniczony i cenny — mijał nieubłaganie. Nie zadał sobie nawet trudu, aby odpowiedzieć na sugestię Huntera, że może powinien poprosić o rozmowę z Valem Boranem i spróbować choć trochę przeciwdziałać antyterrańskiej propagandzie, jaką w jego uszy sączył emisariusz Sonig.

Hunter podjął decyzję. Jeżeli Rockford rano nadal nic nie będzie robić, wyśle pilną wiadomość do Kwatery Głównej.

Wyszedł na zewnątrz, aby znaleźć służącego, który powie mu co tutaj robi się z pocztą.

****

– Phoszę uważać!

Spomiędzy porośniętych sierścią łap, próbujących zatrzymać się w miejscu, trysnął żwir, i coś podobnego do ogromnego czarnego psa, co przed chwilą wypadło w pełnym biegu zza rogu, uderzyło go w nogi. Poleciał jak długi na ziemię, przelatując nad zwierzęciem. Upadając widział wyraźnie obraz niesamowitego zainteresowania na twarzach stojących nieopodal służących.

– Ja przephaszam, pohuczniku.

Wstał na nogi, spoglądając z góry, na podobne do psa stworzenie. W jego brązowych oczach i przepraszającym szerokim uśmiechu na twarzy widać było żywą inteligencję. Rozpoznał w nim jednego z tubylców z ponurego, głodowego świata Altair Cztery. Altairianie emigrowali do wszystkich części galaktyki, żeby zarobić na życie, imając się każdej, najgorszej nawet pracy, jaką udało im się znaleźć. Wielu z nich było empatami.

– Za szybko biegłem, by spotkać się, z panem Hockfohdem, jak mi się wydaje. Czy coś się panu stało, pohuczniku?

Hunter wyciągnął z ręki igłę z drzewa chmurzastego i z ponurą miną popatrzył na porośniętą futrem twarz.

– W przyszłości, spróbuj trochę patrzeć, gdzie idziesz.

– Och, ja patrzeć, dobrze. Tylko po phostu nie widzę. Nazywam się Alonzo, pohuczniku, i jestem tu przez cały czas, pilnuję wszystko dla księżniczki Lyli. Bahdzo miło było pana spotkać, mogę pomóc załatwić dla pana hózne sphawy, hobić takie rzeczy jak wysłać listy, za ciasteczka albo cukiehki, któhych nie wolno mi jeść za dużo. Księżniczka Lyla mówi że za dużo to chohować…

– Wysłać listy? – Niechęć Huntera natychmiast znikła. – Przepraszam, że byłem niegrzeczny, Alonzo — to wszystko również moja wina. Być

może dziś wieczorem napiszę list do mojej drogiej starej matki, i jeśli mógłbyś go dla mnie rano wysłać …

****

Rockford wyszedł nieco wcześniej przed Hunterem, i kiedy porucznik zszedł do sali spotkań, było już może minutę po wyznaczonym czasie. Usłyszał ze środka donośny głos Narfa:

– … Boran musiał się zatrzymać, żeby oglądać zachód słońca. Mówiłem mu, że chciałbym żeby wszyscy zjawili się tutaj punktualnie.

Cichy głos Lyli coś mu odpowiedział, na co Narf dodał:

– Nie ma potrzeby, żebyś go broniła, moja droga. Wyjaśniłem mu to wszystko bardzo dokładnie.

Za plecami Huntera odezwał się jakiś nowy głos:

– Zdaje się, że bardzo zdenerwowałem Lorda Narfa.

Był to wysoki, ciemnooki mężczyzna o smagłej, posępnej twarzy Indianina. Wokół niego roztaczała się nieuchwytna, trudna do zdefiniowania atmosfera smutku, przypominająca nieco Hunterowi księżniczkę Lylę.

– Pan nazywa się Val Boran, sir? – powiedział. – Jestem porucznik Hunter…

Wewnątrz sali Narf zasiadł ma honorowym miejscu, u szczytu stołu. Po jego lewej stronie siedziała Lyla, a dalej Rockford. Po prawej ręce usiadł mały, chudy człowieczek, w wieku około pięćdziesięciu lat, z włosami zaczesanymi do tyłu i tak mocno przylizanymi do głowy, że sprawiała ona wrażenie głowy łasicy. Pod długim, wystającym nosem zaciskały się cienkie jak papier wargi, podobne jak u zasuszonej, samolubnej starej panny, ale okrągłe małe oczka, rzucające spojrzenia spoza grubych szkieł, były zimne i bystre, i nic nie było w stanie się przed nimi ukryć. To musiał byś Specjalny Emisariusz Verdam, Sonig. Hunter ocenił go jako człowieka bardzo niebezpiecznego, w specyficzny zwodniczy sposób.

Służący pokazał im ich miejsca przy stole. Rockford i Val Boran wymienili krótkie powitania. W chwili, gdy wszyscy już usiedli, Narf powiedział:

– Dzisiejszego wieczora, kolacja będzie…

– Przepraszam – przerwała mu Lyla, – ale pan Sonig nie miał okazji jeszcze spotkać …

– Och, tego młodego człowieka, tutaj – Narf wskazał go ręką. – Pomocnik Rockforda. Teraz zadzwoń proszę na służbę, Lylo. Te steki z jelenia już wcześniej zaczynały robić się zimne. Panowie, zabiłem to zwierzę osobiście, dokładnie dzisiejszego ranka. To był strzał z dużej odległości, wymagający czegoś więcej niż zwykłego szczęścia…

Kolacja była doskonała, ale nikt nie wydawał się tego zauważać. Narf zaabsorbowany był relacjonowaniem historyjek ze swojego szybkiego awansu w Vestańskiej Straży Kosmicznej. Wśród innych, wysłuchali szeregu humorystycznych incydentów:

– … Sam nie wiem dlaczego, ale wydaję się przyciągać kobiety jak magnes. Jestem prawdziwym mężczyzną, tak więc nie mam nic przeciwko temu, ale to cholerny skandal, kiedy jesteś wschodzącą gwiazdą, mającą w perspektywie szybki awans, a dowódca spotyka wyłaniającą się z twojej kwatery kolejną blondynkę …

Były również sceny pełne pasjonującego dramatu:

– Za chłopięcych lat przyrzekłem sobie, że nigdy zadowolę się małymi rzeczami i zawsze będę prawdziwym mężczyzną otoczonym prawdziwymi mężczyznami. Wydaje mi się, że całkiem nieźle mi to wyszło. Kiedy widziałem, że załoga zbliża się niemal do punktu załamania, z powodu napięcia bitewnego, zawsze zdawałem sobie sprawę, że jako dowódca muszę dać im przykład, który ich zainspiruje do właściwego działania.

Hunter przypomniał sobie słowa Rockforda, zaledwie sprzed kilku godzin: *„Narf w końcu został dowódcą, ale jedynie dlatego, że był synem najlepszego przyjaciela króla. Historia jego kariery była bardzo przeciętna*”.

Księżniczka Lyla trzykrotnie próbowała zawiązać rozmowę na tematy cieszące się bardziej powszechnym zainteresowaniem, ale za każdym razem była zagłuszana przez Narfa. Soniga udającego oczarowanie historiami Narfa, zdradzał jednak sposób w jaki jego oczy rzucały spojrzenia to na Rockforda, to na Vala Borana. Uwaga samego Vala dzielona była między Narfa, a milczącą Lylę, której przybity wzrok zdradzał zniechęcenie. Spoglądała spod powiek na Vala, by natychmiast odwrócić wzrok, kiedy tylko ich spojrzenia się spotkały. Hunter zastanawiał się, czy to z powodu zażenowania tym, że Narf oddał Sonigowi honorowe miejsce, które powinno należeć do Vala.

Oczywiście, miejsce samego Narfa, u szczytu stołu, tak naprawdę powinno należeć do Lyli.



– … A więc kompetentnego i niezachwianego przywództwa, nie jest w stanie zastąpić nic – tokował dalej Narf. – Ta moja sentencja bywa już nawet cytowana.

Sonig pokiwał głową z udawanym podziwem.

– Przebieg pańskiej kariery wojskowej jest najlepszą ilustracją faktu, że napięcia, niebezpieczeństwo i walka mogą pod kompetentnym przywództwem, przynieść pokaz najszlachetniejszego rodzaju odwagi. Wydaje mi się jednak, że te same okoliczności, w przypadku gdy przywódca jest bojaźliwy lub niekompetentny, łatwo mogą skutkować histerycznymi działaniami o katastrofalnych konsekwencjach. Czyż nie tak, wasza lordowska mość?

Rockford z uwagą spoglądał na Soniga i Hunter zauważył, że przewidywał już, ku czemu zmierza Sonig.

– Ma pan całkowitą rację – odparł Narf. – Zawsze potrafiłem zachować kontrolę nad sobą, w warunkach najgorszego nawet kryzysu. To bardzo ważne. Jeżeli dowódca wpadnie w panikę, może wydawać najróżniejsze rozkazy. Tak jak w przypadku incydentu z New Jardeen.

Po wygłoszeniu ostatnich pięciu słów zapadła lodowata cisza. Hunter pomyślał: *„A więc to na to polowała ta mała łasica…”*.

Rockford cicho odłożył swój widelec. Twarz Vala zasnuło ponure milczenie. Lyla szybko próbowała załagodzić alarmową sytuację, mówiąc do Narfa.

– Proszę, nie…

– Panowie, proszę mnie źle nie zrozumieć – kontynuował donośny głos Narfa. – Wierzę, że dowódca terrańskiego krążownika nie wydałby rozkazu ostrzelania krążownika z Verdam nad neutralnym światem, takim jak New Jardeen, gdyby zachował trzeźwy umysł. Nerwy zimnej wojny. A więc zestrzelił krążownik Verdam, i kiedy spadł on na centrum Colony City, eksplodowały jego konwertery nuklearne. Uwolniona energia była równa sile wybuchu bomby wodorowej — w ciągu kilku mikrosekund zginęło czterdzieści tysięcy niewinnych ludzi. Tak naprawdę, to nie był to błąd dowódcy, ale systemu militarnego, który nie zdołał wychwycić swoich niestabilnych oficerów.

– Tak, wasza lordowska mość. Ale czy takie ścisłe monitorowanie wszystkich oficerów jest możliwe – Sonig stwierdził to bardzo zamyślonym tonem, – w przypadku władz politycznych, takiej natury, że w celu utrzymania swojego istnienia, muszą dysponować potężną siłą militarną? Potrzebują przecież tak wielu oficerów… Czy w ogóle może istnieć jakakolwiek pewność, że takie tragedie nie powtórzą się po raz kolejny, i kolejny, dopóki większość światów nie zjednoczy się w żądaniu zakończenia agresji i wojny?

Rockford powiedział do ponurego Vala:

– Wiem, sir, że pańska siostra jest wśród zaginionych w Colony City. Bardzo mi przykro z tego powodu. Na użytek pana Soniga i Lorda Narfa, chciałbym wspomnieć, że nad neutralnym New Jardeen to krążownik Verdam strzelał do krążownika terrańskiego, z otwartym pogwałceniem Prawa Galaktycznego. Interakcja atmosferyczna spowodowała, że to własne blastery krążownika verdamskiego wysadziły jego burtę w

powietrze i spowodowały upadek na miasto. Krążownik terrański w ogóle nie otwierał ognia.

– Panie Rockford – z uprzedzającą wręcz grzecznością zapytał Sonig, – czyż nie jest prawdą, że pewne urządzenia zabezpieczające chronią przed interakcją atmosferyczną?

– Tak, rzeczywiście robią to, chyba że… przypadkowo lub celowo zostaną wyłączone.

Sonig aż uniósł brwi w teatralnym zdumieniu.

– Czyżby miał pan zamiar zasugerować, że incydent został spreparowany?

– To nie ma najmniejszego znaczenia – powiedział Val Boran. Jego ton był równie ponury jak twarz, i oczywiste było, że nie wierzy ani jednemu słowu z wyjaśnień Rockforda. – Colony City jest teraz polem stopionego szkła, zginęli ludzie i żadne dyskusje nie są w stanie przywrócić im życia.

****

Ponura kolacja wreszcie dobiegła końca. Rockford zatrzymał się na chwilę przed drzwiami ich domku, by napełnić i zapalić swoją fajkę.

– To był całkiem udany wieczór – powiedział do Huntera. – Teraz mogę usiąść i dopracować szczegóły mojego planu — to jest, oczywiście, po małym piwku.

„Po wypiciu swojego piwa pójdzie spać”, pomyślał Hunter, *„i nigdy nie będzie żadnego planu, chyba że to ja…”*

Ze ścieżki za ich plecami dobiegł miękki odgłos kroków. Była to księżniczka Lyla.

– Chciałabym przeprosić – powiedziała. – Właśnie byłam u Vala… pana Borana, w tej samej sprawie.

W świetle gwiazd jej twarz była jedynie bladym owalem, z ciemnymi cieniami oczu.

– Bardzo mi przykro, ze mój mąż poruszył sprawę incydentu z New Jardeen.

– Wszystko w porządku, Lyla – odpowiedział Rockford. – Nie stało się nic strasznego.

– On jest byłym wojskowym, i jak mi się wydaje ma naturę bardziej prostolinijną, niż taktowną.

– Z całą pewnością nie możesz go za to potępiać – odparł Rockford. – Po prawdzie, to jest nadzwyczajnym gawędziarzem, opowiadającym zabawne historyjki. To był bardzo przyjemny wieczór.

****

– I w pewnym sensie, naprawdę tak było – powiedział Rockford kiedy odeszła, a oni znaleźli się już sami w domku. Jak zwykle siedział w najwygodniejszym fotelu z puszką piwa w ręku.

Hunter pomyślał o tym jak ślicznie wyglądała w świetle gwiazd i zapytał:

– Dlaczego pozwoliła temu gadule siedzieć u szczytu stołu i zrujnować spotkanie, które sama zaaranżowała?

– On wkrótce zostanie jej mężem — przypuszczam, że wydaje się jej, że powinna być w stosunku do niego lojalna.

– Ale…

– Ale, co?

– Nic. To nie moja sprawa.

– Och? – Rockford uśmiechnął się w sposób jakiego Hunter bardzo nie lubił. – Naprawdę tak myślisz, ech?

Hunter natychmiast zmienił temat.

– Czy ma pan zamiar porozmawiać z Boranem, żeby zniwelować szkody, jakie poczynili Narf i Sonig?

– To byłaby strata czasu, mój chłopcze. Umysł Vala Borana został już odpowiednio urobiony.

– A więc, co ma pan zamiar zrobić?

– Wypić sześć puszek piwa i pójść spać.

– Myślałem, że ma pan jakiś plan.

– A bo mam, i to naprawdę znakomity.

– Na czym ma on niby polegać?

– Gdybyś to wiedział, wrzeszczał byś tu jak zarzynany. Zobaczysz sam — jeśli uda ci się tak długo przeżyć.

W godzinę później Rockford już twardo spał, delikatnie pochrapując. Hunter siedział i rozmyślał, słuchając nieustannego szmeru głosów dochodzących z domku Vala Borana. Głos Soniga — korzystającego ze wszystkich środków perswazji, jakie tylko był w stanie wymyślić, zbijał obecnie kapitał na z incydencie z New Jardeen i skrywanym przez Borana żalu z powodu straty siostry.

A reprezentant Republiki Terrańskiej, nurzał się, tłusty i bezmyślny, we mgle oparów piwa.

Hunter już się przestał wahać. Los ziemi i Republiki Terrańskiej zawisł na włosku, a czasu do działania było rozpaczliwie mało — jeżeli w ogóle jeszcze jakikolwiek pozostał.

Wziął papier i pióro i zaczął układać pilną wiadomość do Kwatery Głównej, zatytułowaną SKRAJNE ZAGROŻENIE. Miała zostać ona wysłana z miasta poprzez komunikator hiperprzestrzenny, i pokonać odległość setki lat świetlnych w ciągu kilku sekund.

****

Następnego ranka był już na nogach na długo przed Rockfordem, wychodząc na prześliczne słońce na dworze. Miał nadzieję znaleźć Alonzo,

nie chcąc wysyłać listu osobiście, aby ktoś tego zauważył. Rockford pomimo swoich pijackich zamroczeń, mógł być bystrym obserwatorem i w związku z tym mógłby wydedukować zawartość listu, zanim jeszcze otrzyma go Kwatera Główna.

Znalazł się już w pewnej odległości od swojego domku, kiedy usłyszał za sobą tupot włochatych stóp.

– Pohuczniku – Alonzo zaprezentował szeroki uśmiech wesołego psiego idioty. – Czy chcesz żebym wysłał twój list do twojej dhogiej stahej matki?

– Tak mam ten list, tu przy sobie.

– O.K. Muszę się pośpieszyć, bo helikopteh pocztowy zahaz odlatuje. Opłata wynosi sześć figowych ciasteczek lub trzy cukiehki lub…

– Masz tu list — weź go i biegnij — i spróbuj go całego nie poślinić.

****

Akurat właśnie w domkach serwowano śniadanie. Zaraz po nim, Rockford wyszedł na krótką rozmowę z księżniczką Lylą. Wrócił i usiadł w wygodnym fotelu z nieodłączną fajką w ręce.

– Twoje poranne obowiązki raczej nie będą raczej specjalnie nieprzyjemne – powiedział. – Przykre i niemiłe rzeczy przytrafią ci się dopiero później. Być może jeszcze dzisiejszego popołudnia.

– Co pan chce przez to powiedzieć?

– Dzisiaj rano pójdziesz na spacer z Księżniczką Lylą i będziecie omawiać przekształcenie Vestańskiej Straży Kosmicznej w służbę działającą na podobnych zasadach jak Terrański Patrol Kosmiczny. Tak przy okazji, Narf jest ciągle w łóżku.

Rockford dodał jeszcze po chwili:

– Dam ci jeszcze jedną mądrą radę, tak tylko dla twojego własnego dobra — spróbuj się w niej nie zakochać.

****

Hunter i księżniczka Lyla usiedli razem na wysokim wzgórzu, opierając się plecami o czerwony pień drzewa chmurzastego. Na zboczach gór po ich prawej ręce rozciągał się ciemny, podobny do dżungli Tygrysi Las — zastanawiał się, czy rzeczywiście prawdą jest, że dzikie tygrysy drzewne nigdy nie zapuszczały się poza jego granice — a u ich stóp, daleko w dole, widać było małe, podobne do domków z klocków, pomieszczenia rezydencji. W oddali, grzbiety górskie stopniowo opadały, przechodząc w dzikie pustynne tereny, za którymi gdzieś daleko, widać było już kolejne góry, tak odległe, że przeświecające błękitem.

– To George zasugerował, żebyśmy weszli tutaj na górę – powiedziała Lyla. – Wie doskonale, że często tu przychodzę, kiedy troski bycia królową całej planety — a przecież tak naprawdę jestem tylko zwykłą i niezbyt

utalentowaną osobą — stają się dla mnie zbyt ciężkie. Zawsze czuję się lepiej, kiedy siadam sobie tutaj wysoko i spoglądam na rozciągające się w dole, góry i pustynie.

– Tak – uprzejmie odparł.

– Władczyni często jest taka samotna – powiedziała. – Właśnie dlatego tak bardzo doceniam przyjaźń George'a — ponieważ nie robi tego dla jakichś wyższych racji, ale dlatego że mnie lubi.

Aby dostać to co chcę, muszę wykorzystać i ją i ciebie.

Przyglądał się liniom smutku na jej twarzy, która wydawała się zbyt stara jak na swoje lata, wiedząc że to, za co była taka wdzięczna Rockfordowi, było jedynie chłodnym wykalkulowanym udawaniem przyjaźni, i jego niechęć do Rockforda nieustannie rosła. Nie był w stanie zmusić się do tego, aby rozmawiać z nią dalej uprzejmie o Rockfordzie, tak więc zmienił temat.

– Jak rozumiem, chciałaś porozmawiać ze mną o Straży Kosmicznej?

– Tak. W obecnych czasach nawet neutralna planeta nie może czuć się bezpiecznie, a George też sugerował, żeby się nad tym zastanowić.

– Z przyjemnością pomogę ci, na ile tylko będę w stanie. Niestety poważniejsze zmiany wymagać będą czasu.

– Oczywiście, mogę to zrozumieć. Podobno oficerowie waszego Patrolu Kosmicznego, rozpoczynają naukę w wielu szesnastu lat, po przejściu niemal niemożliwych do zaliczenia testów kwalifikacyjnych.

– Te testy mogą wydawać się ekstremalnie trudne dla chłopaka, który wychował się na farmie w Kansas. Ja…

– Kansas? – jej oczy rozbłysnęły z zainteresowaniem. – Moja babcia pochodziła z Kansas! Często opowiadała mi o zielonych równinach porośniętych wiosennym zbożem, i o tym jak różne są one od pustyń Vesty.

Było już prawie południe, kiedy podał jej rękę i pomógł wstać na nogi, czując wyrzuty sumienia, że rozmawiali przez cały poranek, nawet przez chwilę nie nawiązując do zimnych, suchych spraw efektywności militarnej Straży Kosmicznej.

– Bardzo miło było tak sobie tutaj posiedzieć o poranku, i porozmawiać – powiedziała. Popatrzyła na dół, na malutkie domki, i na jej twarz wypłynął cień smutku. – Ale tam na dole absolutnie niczego to nie zmieniło, czy nie tak?

Kiedy szli na dół po bardziej stromym fragmencie zbocza wzgórza, przytrzymał jej doń odrobinę dłużej, niż było to konieczne. Wydawała się tego nie zauważać.

Kiedy dotarli do jej domku, powiedziała:

– Do lunchu zostało jeszcze nieco czasu — wystarczająco dużo, abyś mógł przedstawić mi jakiś krótki zarys zmian w Straży Kosmicznej.

Cały wystrój jej domku miał kobiecy charakter. Nie było widać żadnych rzeczy należących do Narfa. Jego połowa domku oddzielona była ciężkimi drzwiami, zaopatrzonymi w masywny zamek. Huntera prześladowała myśl, czy na noc pozostawały one także zamknięte, i już samo wspomnienie skwaszonej twarzy Narfa oraz jego chytrze spoglądających małych oczek, powodowało, że inna możliwość, wydawała mu się odpychająca.

Zaraz kiedy tylko usiedli, odpowiedź na jego domysły pojawiła się sama, wraz z wejściem służącego.

– Za pozwoleniem, wasza wysokość – powiedział służący, z lekkim skłonem. – Przyszedłem aby dorobić Lordowi Narfowi klucz do wewnętrznych drzwi.

– Klucz? – W jej głosie zabrzmiał ton alarmowy. – Ale przecież my nie jesteśmy małżeństwem — jeszcze nie!

Na twarzy człowieka pojawił się wyraz zaintrygowania.

– Lord Narf powiedział mi, że wasza wysokość poleciła wykonać duplikat klucza i oddać mu go jeszcze przed wieczorem. Zorientowałem się, że nie mogę tego zrobić, nie pożyczając najpierw klucza waszej wysokości, na wzór.

Spojrzenie dziewczyny powędrowało w stronę rzeczonych drzwi, a potem powróciło na czekającego służącego, a w jej oczach pojawił się cień obawy.

– Nie… proszę nie dorabiać tego klucza!

– Rozumiem, wasza wysokość. – Służący skłonił się nisko, i odwrócił aby wyjść.

Za nimi odezwał się znajomy ciężki i szorstki głos:

– Ach… niezaplanowane małe spotkanko, jak widzę!

To był Narf, stojący w drzwiach z gniewem na twarzy i przyglądający się wyjściu służącego.

– Chcieliśmy trochę porozmawiać o Straży Kosmicznej – odpowiedziała Lyla wypranym z emocji głosem. – Porucznik Hunter obiecał podzielić się ze mną swoimi przemyśleniami nad tym jak metody Patrolu Kosmicznego mogłyby usprawnić jej działanie, i…

– Zbiegiem okoliczności, właśnie kilka minut temu emisariusz Sonig i ja dyskutowaliśmy na temat spraw wojskowych – powiedział Narf. Spojrzał na Huntera. – Obawiam się, że Sonig i ja zgadzamy się, że Terrańska Straż Kosmiczna stała się obecnie organizacją mocno przestarzałą. Największą siłą bojową galaktyki jest w tej chwili Verdamska Gwardia Ludowa.

Następnie Narf zwrócił się do Lyli.

– Jeśli masz ochotę, możesz chodzić i rozmawiać z panem porucznikiem, ale to jedynie strata czasu. Ustaliłem już z Sonigiem, że przyśle nam grupę oficerów Gwardii Ludowej, aby nadzorowali przebudowę Straży Kosmicznej.

– A teraz – w głosie Narfa, kiedy przemówił do Huntera, zabrzmiał ton insynuacji, – idę udzielić Sonigowi małego pokazu moich umiejętności we władaniu bronią. Nalegał na to usilnie — doszły do niego słuchy o moich kilku skromnych bohaterskich wyczynach.

Narf zostawił za sobą szeroko otwarte drzwi, tak by idąc mógł, jedynie odwracając głowę, widzieć siedzącą wewnątrz domku parę.

– Wydaje mi się, że ja również powinienem już pójść – powiedział Hunter.

Lyla nic nie odpowiedziała. Siedziała bez ruchu, wpatrując się przed siebie niewidzącym spojrzeniem. Zastanawiał się, czy rozmyśla o tym, że

już wkrótce Narf stanie się królem i jego władza będzie równie duża jak jej.

Nawet nie zauważyła, kiedy po cichu opuścił pokój.

****

Rockford czekał w domku, nadal siedząc w wygodnym fotelu.

– A więc – spytał wchodzącego Huntera, – co o niej myślisz?

Hunter usiłował odseparować swoją niechęć osobistą, od chłodnej formalnej odpowiedzi:

– Jeżeli chodzi panu o pańską sugestię, aby się w niej nie kochać, sir, to mogę pana absolutnie zapewnić, że sugestia taka w ogóle nie była potrzebna. Przywykłem do stosowania się, do pewnego kanonu etyki.

– Ja wcale nie powiedziałem „kochać". Powiedziałem „zakochać". To jest całkowicie etyczne. Czy zakończyliście już swoje rozmowy na dzisiaj?

– No cóż… nie.

– Musisz więc wrócić do nich dzisiaj popołudniu. Nie można pozwolić, aby coś tak ważnego uległo opóźnieniu.

Hunter wpatrywał się w niego, usiłując znaleźć w działaniach Rockforda, najlżejszy choćby ślad zdrowego rozsądku. Imperium Verdam miało już w swoich łapach Jardeena, a w nieunikniony sposób zmierzała w nie Vesta, a potem Ziemia. A Rockford jedynie spał, żłopał piwo i opowiadał jak istotne jest, aby rozmowy na temat przekształcenia Vestańskiej Straży Kosmicznej — zmiany na którą Narf nigdy nie pozwoli — kontynuowane były bez żadnych opóźnień.

Powoli zmierzał w stronę swojego pokoju. W całym frustrującym bałaganie tej koszmarnej sytuacji, była jedna jedyna rozsądna i dobra rzecz, która pozwalała jego myślom jakoś nie ulegać panice: do tej pory Kwatera Główna już powinna otrzymać jego wiadomość i wysłać z powrotem rozkaz, zwalniający go spod dowództwa Rockforda. Być może nie było jeszcze za późno…

W tym momencie jego umysł aż się zakołysał, w reakcji na spadający na niego nowy cios.

Na łóżku leżała kartka papieru… wiadomość.

Jego wiadomość!

… SYTUACJA W NAJWYŻSZYM STOPNIU KRYTYCZNA … VAL BORAN ZOSTAŁ JUŻ PRZEKONANY PRZEZ PROPAGANDĘ SONIGA … ZMUSZONY JESTEM DONIEŚĆ, ŻE ROCKFORD JEST KOMPLETNIE NIEKOMPETENTNY, JEGO UMYSŁ ZOSTAŁ ZNISZCZONY PRZEZ ALKOHOL … POWTARZAM: ROCKFORD NIC NIE ROBI, JEGO UMYSŁ ZNISZCZONY PRZEZ ALKOHOL …

Znajdujące się na kartce słowa wręcz biły mu w oczy i poczuł się słabo, tak jak ktoś, kto widzi, że jego ostatnia, nawet słaba, nadzieja pryska i ulatuje. Teraz wszystko było już stracone…

Wyszedł na zewnątrz, czując wzbierające w duszy dzikie pragnienie przemocy, wypierające poprzednią słabość.

– Pohuczniku! – w jego kierunku pędził Alonzo i ślizgając się zahamował, rozrzucając szerokimi łapami na wszystkie strony żwir. Na twarzy miał ten swój irytujący grymas idioty. – Wysłałem pański list, jest mi pan winien sześć figowych ciasteczek, phoszę.

I w tej chwili Hunter pojął, że to nie Alonzo ponosi winę za całą powstałą sytuację. To przecież on, Hunter powierzył wykonanie czegoś tak niezmiernie istotnego, jak wysyłka absolutnie krytycznej wiadomości, głupawemu zwierzakowi. A więc to on zasłużył na egzekucję.

Powiedział z zimną wyrazistością:

– Ten … list … jest … w … środku.

– Och? – mrugnął Alonzo. – Jestem pewien, że wysłałem go dobhże. Po tym jak pan Hockfohd go pophawił.

– *Poprawił go?*

– Och, pewnie. Pan Hokfohd wstał dziś hano przed panem, aby mnie znaleźć i powiedzieć, ostatniej nocy napisał pan list, i mam go przynieść do niego, żeby pophawił błędy, któhe pan zwykle hobi.

Więc Rockford przez cały czas mnie obserwował, udając że śpi pijackim snem.

– Pohuczniku – Alonzo niecierpliwie przebierał swoimi wielkimi stopami. – Ciągle jest mi pan winien sześć figowych…

Hunter odwrócił się do niego plecami i odszedł, obawiając się, że mimo wszystko może jednak zdecydować się aby udusić zwierzaka. Cywilizacja dwudziestu światów już w zasadzie uległa unicestwieniu, a on został złapany w irytujący uścisk bezradności, przez przebiegłego alkoholika i psa z umysłem małego dziecka.

– Ach ... mój chłopcze! – Rockford wyszedł z domku, rozpromieniony, jak gdyby w ogóle nic się nie stało. – Spójrz tam w lewo, miedzy tymi drzewami widmowymi — Narf daje Sonigowi pokaz swojej zręczności w szybkim dobywaniu broni. Wiesz, Narf wydaje się być bardzo niebezpiecznym człowiekiem.

Hunter popatrzył we wskazanym kierunku i zobaczył Narfa błyskawicznie wyciągającego z pochwy prosty, brzydki blaster o szerokim rozrzucie emitowanego promienia — określany przez żołnierzy jako Broń Tchórzy, ponieważ na krótki zasięg nie można było z niego spudłować i zawsze ranił lub oślepiał człowieka robiąc z niego kalekę na całe życie, nawet jeśli nie zawsze go zabił. Sonig stał z boku, kiwając swoją łasiczą głową i uśmiechając się w pełnej admiracji.

– Oczywiście – powiedział Rockford, – Sonig nic nie wspomniał o pistolecie igłowym, który wszyscy emisariusze Verdam zawsze noszą ukryty w rękawie. Pochlebia ego Narfa, z jednego prostego powodu — zanim stąd odjedzie, chce pozyskać dla imperium Verdam zarówno Jardeena, jak i Vestę.

– I do tej pory, jak widzę – zimno powiedział Hunter, – Sonig nie napotkał jeszcze niczego, co choćby mgliście przypominało jakiś rozsądny opór przeciw jego planom.

– Ach tak, tak… do tej pory, i tak jak ty to widzisz – przyjaźnie zgodził się Rockford. – Ale wykonasz mój rozkaz, i weźmiesz Lylę na kolejny

spacer i wszystko dobrze się skończy. Prawdę mówiąc właśnie szedłem, aby z nią o tym porozmawiać.

Hunter uporczywie wpatrywał się w plecy Rockforda, kiedy tamten odchodził. Nie było żadnych, najmniejszych nawet, wątpliwości — Rockford był obłąkany!



Wietrzyk zmienił kierunek i doleciał do niego głos Narfa:

– ...Taki blaster o szerokim promieniu emisji, to z pewnością nie jest broń dla człowieka bojaźliwego Trzeba spotkać się z wrogiem oko w oko, na małą odległość.

– W tym również – powiedział Sonig, – Wasza lordowska mość przypomina mi naszego wielkiego generała Paluka. Jego zręczność w walce wręcz, była czymś...

– Pohuczniku...

Hunter cały zadrżał, ale po chwili się uspokoił.

– Pohuczniku – Alonzo usiadł koło niego. – Ja hozmawiałem z księhżniczką Lylą i ona mi powiedziała, że to źle, kiedy jestem zły na pana. Tak więc nie jestem zły, nawet jeśli nie dał mi pan mojej zapłaty.

– Bardzo ci dziękuję – kwaśno odparł Hunter. – Twoja uraza naprawdę bardzo mnie martwiła.

– Och, dobrze wiem, że mnie pan nie lubi. Ale myślę, że tak naphawdę to nie jest pan taki zły, jak pan hobi. Co innego Lohd Nahf — on jest. Muszę panu powiedzieć, że on był tak bahdzo wściekły na pana, że chce pana zabić.

– Co powiedziałeś? Lord Narf chce mnie zabić?

– Och, on wie, że dzisiaj hano, schodząc ze wzgórza, niemal cały czas trzymał pan księżniczkę Lylę za hękę. To pan Sonig pana widział, i on pobiegł i powiedział o tym Lohdowi Nahfowi i panu Bohanowi tehż.

– Ale ja pomagałem jej tylko schodzić ze wzgórza!

– Lohd Nahf, on poszedł też mówić o tym złe rzeczy księżniczce Lyli. Wiem to. On zawsze mówi złe rzeczy do mojej księżniczki Lyli.

Alonzo westchnął, ten dźwięk wydawał się w swoim smutku dziwnie ludzki.

– Kto będzie pilnować mojej księżniczki Lyli po ślubie z Lohdem Nahfem? On powiedział: „Pierwszą rzeczą, któha stąd zniknie, będzie to głupie, wszędzie się plątające i kłapiące pyskiem zwierzę, nie wahte nawet części pieniędzy wydawanych na jego żahcie”. Myślę, że on się boi, że jeśli kiedykolwiek uderzy moją księżniczkę Lylę, to ja go zabiję. – Brązowe oczy spojrzały w górę na Huntera, i nagle stały się zupełnie niepodobne do oczu Alonzo, które zawsze widział do tej pory; chłodne i zdecydowane. – I ma hację. Zhobię to z pewnością.

****

Hunter ciągle jeszcze stał przed domkiem, rozmyślając o tym, co powiedział mu Alonzo, kiedy wrócił Rockford.

– Zatrzymałem się jeszcze, żeby porozmawiać z Valem Boranem – powiedział Rockford. – Kiedy zajmiesz się Lylą, my polecimy do miasta. Lyla dała nam wolny dostęp do Biblioteki Królewskiej, a jeśli udałoby nam się znaleźć coś w rejestrach neutralnego świata, to takie informacje mogą być więcej warte, niż wszystko cokolwiek mu powiem. Nie liczę na to, że to całkowicie zmieni stan jego umysłu, ale da mi szansę, aby trochę nad nim popracować w nieco inny sposób.

Rockford wszedł do domku, tuż przedtem zanim na ścieżce pojawił się Val Boran. Obok niego szła księżniczka Lyla. Właśnie mówiła:

– … wszystko, co mamy w bibliotece, jest do pańskiej dyspozycji.

Znajdowali się dostatecznie blisko Huntera, by mógł zobaczyć wyraz jej twarzy, kiedy spoglądała na Vala oraz dostrzec pojawiający się na niej cień smutku.

– Gdybyście panowie sobie życzyli, z największą przyjemnością poleciałabym z panem i panem Rockfordem, aby pomóc we wszystkim w czym tylko będę mogła

– Lyla – to był zgrzytliwy głos Narfa, który zdawał się mieć swoistą zdolność, materializacji w każdym miejscu, zupełnie znienacka, – jestem pewien, że pan Val ma swoje własne sprawy do załatwienia. Poza tym, kiedy skończę moją dyskusję z panem Sonigiem, chciałbym z tobą o czymś porozmawiać.

Mówiąc to, Narf ruszył już w kierunku swojego domku. Idący tuż za nim Sonig, zatrzymał się na dostatecznie długą chwilę, aby ukłonić się Lyli i pozdrowić ją, z nic nie znaczącym uśmiechem:

– Dzień dobry, księżniczko Lylo. Pani mąż właśnie zaprezentował mi swoje wspaniałe umiejętności we władaniu bronią. Prawdę mówiąc, bardzo bym nie chciał – małe oczka rzuciły wyzywające spojrzenie Hunterowi i z powrotem skierowały się na Lylę – być człowiekiem, który wzbudzi gniew w sercu jego lordowskiej mości.

Potem Sonig podążył za Narfem, rzucając na Huntera ostatnie błyskawiczne spojrzenie, aby zobaczyć jaki skutek odniosła jego uwaga.

Rockford wyszedł z domku, ze swoją aktówką i powiedział do Vala:

– Czy możemy już lecieć?

– Właśnie powiedziałam panu Valowi – szybko rzuciła Lyla, – że bardzo bym się cieszyła, gdybym mogła z wami polecieć i pomóc, w miarę możliwości. – Te słowa skierowane były do Rockforda, ale jej wzrok ciągle spoczywał na Valu, i to przez cały czas z tym samym smutnym wyrazem. – Czy panowie sobie tego życzą?

Val odpowiedział jej z chłodną, formalną kurtuazją:

– Z całą pewnością pracownicy biblioteki są w stanie znaleźć wszystkie rejestry, których będziemy potrzebować, księżniczko Lylo. Nie ma więc

potrzeby zakłócania pani rozkładu dnia, ani rozmowy z pani mężem. Dziękujemy bardzo za propozycję.

W tym momencie na twarzy Lyli pojawił się wyraz przypominający minę zranionego dziecka, odrzuconego bez żadnego powodu. Natychmiast jednak odwróciła wzrok. Val natomiast zwrócił się do Rockforda, mówiąc:

– Ja jestem już gotowy, a więc, jeżeli pan również, to lećmy.

Lyla długo patrzyła za nimi, kiedy odchodzili, a nawet kiedy helikopter wzbił się już w powietrze i rozpłynął się w oddali, znikając im z oczu.

Hunter zawahał się przez chwilę, ale powiedział do niej:

– Jak rozumiem, chciałaby pani kontynuować naszą rozmowę na temat Straży Kosmicznej, księżniczko Lylo?

– *Księżniczko* Lylo! – Wykrzywiła wargi odwracając twarz w jego stronę, i wydawała się ciskać w niego słowami, z nagłą i zupełnie nieoczekiwaną urazą. – Jak ja uwielbiam ten nic nie znaczący wydźwięk mojego oficjalnego, marionetkowego tytułu! To dużo wygodniejsze niż traktować mnie jak żywą osobę, z uczuciami, które przecież także mogą zostać zranione!

– Ale księż… to znaczy… – jąkał się, nie całkiem pewien co spowodowało jej tak gwałtowną reakcję.

Z widocznym wysiłkiem spróbowała się opanować.

– Przepraszam bardzo – powiedziała. – Wydaje mi się, że mój… mąż… ma zupełną rację; niedojrzała kobieta nie ma dostatecznych predyspozycji do tego, by próbować rządzić planetą, i im szybciej zawarte zostanie małżeństwo, tym szybciej kompetentny mężczyzna będzie mógł przejąć od niej tę pracę.

– Nie – odparł. – Myślę…

Zdecydował jednak, że lepiej będzie, jeśli to co właśnie sobie pomyślał, nie zostanie wypowiedziane na głos.

– Dam panu znać – spojrzała w kierunku domku, który dzieliła razem z Narfem, – kiedy będziemy mogli porozmawiać.

Skierowała się w stronę domku, wolnym krokiem. Ze środka części Narfa, dobiegał jego głos, mówiący do Soniga:

– … Oczywiście ta kolekcja trofeów, nie może się równać z tą, którą mam na Morskich Wyspach… ale z nią również wiążą się pewne interesujące historie… weźmy na przykład tego lisa śnieżnego…

Hunter westchnął ciężko i zobaczył, że Lyla zatrzymała się przed drzwiami, tak jakby obawiała się wejść do środka. Głos Narfa dalej huczał:

– … tylko ranny, więc dobiłem go nożem. Nawet kiedy miał już wyciętą niemal połowę serca, ciągle pragnął żyć… piękne futro … płaszcz dla Janalee, królowej streap-teasu … zawsze miałem sposób na kobiety, Lyla mogła by coś panu na ten temat powiedzieć… miałem ich setki, ale wybrałem ją…

Zobaczył, jak Lyla uniosła do połowy rękę, jakby w jakimś geście niemego protestu, a potem odwróciła się i szybko odeszła; zmierzała w górę, ścieżką prowadzącą między widmowe drzewa, tak że wkrótce znikła mu z oczu.

Czekał przez pewien czas, ale nie wróciła. Udał się więc do domku i nerwowo przechadzał się po pokoju, w dalszym ciągu słysząc w głowie

sadystyczne i erotyczne przechwałki Narfa i nieustannie widząc jak ona odwraca się od tego i niemal ucieka.

****

– Pohuczniku!

Alonzo dyszał ze zmęczenia, a w jego oczach pojawił się cień szaleńczego błagania.

– Phoszę, niech mi pan pomoże… księżniczka Lyla… ona umrze!

Poczuł, że zatrzepotało mu serce.

– Jest ranna? – zawołał, już po tym jak ruszył biegiem w stronę drzwi.

– Ona była mocno płakała i ona idzie tam gdzie żyją tyghysy drzewne. One ją zabiją… phoszę niech pan idzie ze mną!

Nie tracił czasu na dalsze dyskusje, tylko wyskoczył przez drzwi na dwór i ruszył ścieżką do góry. Alonzo biegł przodem.

W miarę jak podchodzili coraz wyżej zboczem góry, widmowe drzewa zaczęły się przerzedzać, a w ich miejsce pojawiały się, podobne do paproci, niebieskozielone drzewa tygrysiego lasu. Rosło ich coraz więcej, aż w końcu ziemia w ich gęstym cieniu stała się zupełnie czarna, a światło słoneczne z trudem przedzierało się przez gęstą warstwę liści, rozpościerającą się ponad głowami. Alonzo szukał tropu dziewczyny, z nosem, przy samej ziemi, a Hunter śpieszył tuż za nim, rozglądając się w poszukiwaniu czerwieni i bieli ubrania jakie miała na sobie, i modląc się w duchu aby nie znaleźli jej za późno.

Byli już daleko w głębi lasu, kiedy w końcu ją znaleźli.

Stała zupełnie bez ruchu, na środku małej polanki, tyłem do niego, i wyglądała tak bezbronnie i samotnie, jak zagubione dziecko. Wydawała się na coś czekać…

Po raz pierwszy naprawdę sobie uświadomił, jak bardzo była samotna, mając jako przyjaciela tylko podobnego do psa obcego. Alonzo był jedynym, który ją kochał i przejmował się tym co się z nią stanie, oraz przyszłością, której nie była w stanie stawić czoła. Rockford jednak mylił się mówiąc, że nie ma dla niej żadnej drogi wyjścia.

Znalazła sobie drogę ucieczki. Musiała tylko poczekać, tak jak to robiła teraz, i ucieczka przyszła by do niej w cichym jak wiatr szmerze ruchu skradającego się przez trawę tygrysa, za jej plecami…

Podbiegł do niej. Odwróciła się i spostrzegł na jej twarzy plamy od łez, teraz już suche, a w oczach widniała jej ciemność zupełnej klęski.

– Bałem się, że coś mogło ci się stać, Lylo…

Potem, wydawałoby się zupełnie mimowolnie, objął ją rękoma, a ona przytuliła się do niego i płacząc tłumionym szlochem próbowała powiedzieć mniej więcej coś podobnego:

– *Nie myślałam, ze kogokolwiek to obchodzi…*

Minęło trochę kilka chwil, zanim przestała płakać, wtedy Alonzo przypomniał im o tygrysach:

– Pohuczniku… przez cały czas w pobliżu khąży kilka tyghysów. Są cohaz bliżej. Lepiej chodźmy już stąd, pohuczniku, zanim nas tu znajdą.

Lyla spojrzała w dół, na Alonzo.

– Dziękuję ci, Alonzo, za to, że mnie tak pilnujesz i… i… – zaplątał się jej język, opadła na kolana, wzięła w objęcia kudłaty łeb i mocno go do siebie przycisnęła.

Kiedy przedzierali się przez gęstwinę drzew, Hunter patrzył przed siebie, a Lyla na boki. Alonzo szedł za nimi miękkim krokiem, pilnując tyłów. Kiedy doszli do pierwszych drzew widmowych, a drzewa tygrysie stały się rzadsze, Hunter pomyślał, że jest już dosyć bezpiecznie, może więc trochę zwolnić tempo marszu i z nią porozmawiać.

– Widziałem jak odchodzisz – powiedział. – Nie miałem pojęcia dokąd, dopóki nie przybiegł Alonzo żeby mi to powiedzieć.

– Słyszałam jak przechwala się swoim zabijaniem i swoimi kobietami… byłam słaba, co nie?

– Słaba?

– Obawiałam się stawić czoła przyszłości, tylko dlatego, że nie jest dokładnie taka jak myślałam, że chcę aby była.

– A jakiej przyszłości byś chciała, Lylo?

– Och… wydaje mi się, że chciałabym mieć męża, który będzie kochał tylko mnie, dzieci, wspólne wieczory w ogródku z kwiatami, i… no dobrze, te wszystkie sentymentalne małe sprawy, które tak wiele znaczą dla kobiety.

Przypomniał sobie: *Nawet kiedy miał już wyciętą niemal połowę serca, ciągle pragnął żyć… płaszcz dla Janalee, królowej streap-teasu …*

Wydostali się spomiędzy ostatnich drzew tygrysich, i Lyla powiedziała:

– Teraz jesteśmy już bezpieczni. Tygrysy nigdy nie atakują poza swoim lasem.

Idąc dalej, wyraźnie zwolniła, tak więc powiedział:

– Chyba powinniśmy wrócić, zanim ktokolwiek zauważy, że cię nie ma?

– A kto miałby zwrócić na to uwagę? – zapytała. – Dopóki jestem fizycznie nietknięta, do nocy poślubnej, kto miałby się martwić tym gdzie albo dlaczego poszłam?

Kiedy to mówiła, w jej oczach widniał chłód lodowatej zimy, a w głosie zabrzmiały metaliczne nuty. Już wcześniej zauważył ten początek przemiany, jaką mógł w niej spowodować Narf; transformacji dziewczyny, młodej, pragnącej kochać i być kochaną, w twardą, cyniczną kobietę.

Położył jej rękę na ramieniu, próbując jej powiedzieć, że jego to obchodziło, oraz że nie może pozwolić Narfowi na to, aby ją zmienił.

– Lyla, ja…

Zrozumiał jednak nagle jak daremnie i głupio mogą zabrzmieć jego słowa. Ona być może wyjdzie za Narfa, on być może wróci na Ziemię, i pewnie nigdy już się nawet nie spotkają. Nie przychodziły mu do głowy żadne sensowne słowa, które mógłby jej powiedzieć, na tym ostatnim wspólnym spacerze. Nie było żadnego sposobu, aby jej powiedzieć, że chce jej pomóc, że chce ją chronić i troszczyć się o nią. Żadnego sposobu, aby wyrazić uczucia, które wypełniały jego duszę…

Zrobił więc to, co wydawało się mu w tych okolicznościach w jakich byli, tak samo naturalne, jak wzięcie jej w ramiona wtedy na polance. Przekręcił w górę jej twarz i sam się pochylił, aby ją pocałować.

I tak szli razem, szarpiąc się i przedzierając przez gąszcz sękatych gałęzi drzew widmowych.

****

Kiedy wrócili do jej domku, słońce już zaszło i mrok spowił całe obozowisko.

– Dziękuję ci, Dale – powiedziała. Jej ręka ścisnęła go za ramię. – Nawet nie zdawałam sobie sprawy, że mam takiego przyjaciela… ale teraz znów musimy stać się sobie obcy, dlatego że…

Na jednej ze ścieżek, gdzieś pośród drzew widmowych, zachrupał żwir, i kiedy obejrzeli się do tyłu, zobaczyli Narfa i Soniga, zbliżających się szybkim krokiem. Nawet z tej odległości widać było czerwoną łunę otaczającego Narfa gniewu.



– A więc – miękko stwierdziła Lyla, – oto nadchodzi moja kuracja.

Sonig zatrzymał się przy swoim domku, po to by stojąc w samych drzwiach, wszystko dokładnie obserwować. Narf kroczył dalej dopóki nie stanął przed Hunterem i Lylą. Kiedy spoglądał na Huntera, jego twarz aż skręcała się z dzikiej nienawiści. Przemówił do Lyli z szorstką gwałtownością:

– Brawo, wykonałaś wspaniałą robotę, żeby zrobić z siebie idiotkę — a przy okazji i ze mnie — nieprawdaż? Natychmiast do domu!

Narf schwycił ją za rękę, górując nad nią siłą, odwrócił ją szarpnięciem i pociągnął w kierunku drzwi. Hunter szybko zrobił krok naprzód, czując gorący błysk swojego własnego gniewu, ale dojrzał bladość twarzy Lyli, oglądającej się na niego do tyłu, i jej nieme wezwanie, mówiące: *Nie!* Zatrzymał się więc, zdając sobie sprawę, że Narf nie może skrzywdzić fizycznie kobiety, która miała wkrótce uczynić go królem Vesty, oraz że jakakolwiek ingerencja z jego strony, tylko pogorszyłaby sytuację, czyniąc to wszystko dla niej jeszcze trudniejszym.

Patrzył więc jedynie, jak oboje wchodzą razem do domku — do połówki Lyli — i Narf z głośnym trzaskiem zamyka za nimi drzwi. Wkrótce po tym nastąpiło szybki huk zamykanych okien i rozpoczęła się stłumiona tyrada Narfa:

– … Może myślisz sobie, że jestem jakimś kompletnym głupcem… Mam jednak zamiar, powiedzieć ci parę rzeczy…

Sonig nadal stał w wejściu swojego domku. Pomimo, że nie było tego widać, Hunter domyślał się jednak, iż na twarzy Soniga, cienkie, zaciśnięte wargi, wykrzywiły się w złośliwym uśmiechu.

Odwrócił się i poszedł do własnego domku. Nie mógł zrobić nic innego, jak tylko się wycofać — i nasłuchiwać z oddali, czekając w gotowości, aby podjąć odpowiednie kroki, gdyby uznał, że znalazła się w niebezpieczeństwie.

Usiadł w ciemnościach na progu domku, słysząc pojedyncze frazy z wściekłych złorzeczeń Narfa:

– *A więc najpierw odwołałaś moje polecenie odnośnie klucza do tego zamka, a potem sobie wychodzisz, żeby zabawiać się z tym podporucznikiem…*

Z ciemności zmaterializował się Alonzo, podchodząc cicho jak cień. Nie był już bełkoczącym klaunem. Idiotyczny szeroki uśmiech zniknął z jego pyska, oczy gorzały zielonym blaskiem, skośne jak oczy kota, a zęby pobłyskiwały bielą, zwłaszcza kiedy oglądał się do tyłu, w stronę skąd dobiegał głos Narfa.

– Ona jest *moją* księżniczką Lylą – powiedział ponuro Alonzo. – On ją obrzucać obelgami, może nawet ją skrzywdzić. Jeśli zhobić to kiedykolwiek, rozerwać mu gahdło i wyphuć wąthobę.

– Nie skrzywdzi jej, Alonzo – powiedział Hunter, chcąc sam być tego takim pewnym. – Może ją ranić tylko słowami.

– Nawet nie zapytał jej *dlaczego* uciekła. Tylko na nią przeklinać i jej ghozić, za to że nahobiła mu wstydu.

– Narobiła mu wstydu?

– On i Sonig widzieć, jak wychodzicie z lasu, i pan trzyma hękę na jej hamieniu. Patrzyli przez bahdzo silną lohnetkę.

– Ale przecież nie było w tym nic niewłaściwego…

– To właśnie powiedziеć mu księżniczka Lyla. Powiedzieć, że pan trzymał hękę na jej hamieniu, ponieważ ciągle bała się tyghysów. A wtedy on powiedzieć, a co z hesztą? I wyzywał ją bahdzo sthasznymi wyhazami.

– Z jaką resztą?

– Och, kiedy pan pochylił się, żeby pocałować księżniczkę Lylę, a potem szliście przez las.

Przełknął ślinę.

– Oni to widzieli?

– Och, pewnie. Lohd Nahf być taki wściekły, że chciał pana od hazu zabić, ale Sonig powiedzieć: „Niech wasza wysokość poczeka, mam pewien plan”. Potem Sonig powiedzieć „Szkoda, że nie mamy apahatu fotoghaficznego, moglibyśmy zmieszać tego pohucznika z błotem na cztehdziestu światach”.

Na samą myśl o takiej możliwości, Hunter ponownie przełknął ślinę.

– Na czym polegał plan Soniga, o którym Narf opowiadał Lyli? – zapytał.

– Och, on jej tego nie powiedział. Słyszałem jak Sonig powiedział Lohdowi Nahwowi, kiedy ich szpiegowałem. Sonig mówić: „Jutho być mili i puścić tych dwoje na kolejny spaceh do lasu. Ale naszykować kamehy z teleobiektywem i kiedy oni się całować i ściskać, my nakhęcimy film.

– Czemu ten obrzydliwy podły gad…

– A Lohd Nahf mówi, „Tak właśnie zhobimy. A potem, jak tylko będziemy mieli ten film, ja zabić go, a ona odtąd będzie jak napiętnowana, bo kiedy pokażę ten film publicznie, ona będzie zbyt zawstydzona, aby pokazać swoją twarz, gdziekolwiek na Vesta.

– Czemu ten… – nie był w stanie wymyślić odpowiedniego określenia.

– I wtedy Sonig mówi: „Abyśmy byli pewni, że pójdzie jutho, nawrzeszcz dzisiaj na nią mocno, tak by jutho znowu chciała się wypłakać na hamieniu pohucznika”. A Lohd Nahf mówi: „Z największą przyjemnością powiem tej dwulicowej zuchwałej dziewczynie co o niej myślę, nie bój się”.

– Dlaczego, ona była jedynie przerażoną dziewczyną, a ten szczur myśli, że ona…

****

– *…Twoja obietnica złożona umierającemu ojcu* – ciągle dobiegały do nich nowe wyrzuty wygłaszane przez Narfa. – *Teraz już go nie ma, a więc myślisz, ze jego także możesz bezkarnie zdradzać! Dlaczego w swoich oszustwach nie pójdziesz na całość… twój ojciec i tak nigdy się o tym nie dowie…*

Alonzo powiedział:

– Myślę, że powinienem whócić i zostać w pobliżu jej domek, pohuczniku.

W godzinę później, kiedy głos Narfa zaczął już odmawiać mu posłuszeństwa, wyczerpany nieustannym zrzędzeniem, Hunter usłyszał odgłos pracy silnika helikoptera, lądującego w pobliżu obozowiska. Mniej więcej po minucie, w drzwiach domku, zajmowanego przez niego razem z Sonigiem, pojawił się na moment zarys cienia Vala Borana. Wymienili między sobą kilka słów — zaczęło się od pytania Vala — a potem słychać było już jedynie głos Soniga, opowiadający coś przez kilka kolejnych minut.

– *Sonig o wszystkim mu opowiada* – pomyślał Hunter, – *włącznie z naszym spacerem pomiędzy drzewami. Nie będzie w tym jednak, nawet jednego słowa sympatii dla Lyli*.

Relacja Soniga zakończyła się i Hunter zauważył jak Val Boran wychodzi z domku. Ruszył ścieżką prosto w kierunku Huntera, wkrótce wyłonił się z ciemności i stanął przed siedzącym porucznikiem. Za pasem Vala dojrzał jasny metaliczny błysk — blaster. Jego głos był chłodny i stanowczy.

– Chciałbym z panem porozmawiać, panie poruczniku.

Hunter westchnął w duchu, myśląc: – *Zdaje się, że on także chce mnie zabić*.

Wstał i powiedział:

– Wejdźmy do środka. Zamknę za nami drzwi. Nie chcę, aby pański długouchy przyjaciel mógł nas usłyszeć.

Val usiadł, a mimo to ciągle był wysoki, nawet w fotelu. Jego twarz wyglądała jak wyrzeźbiona z ciemnego granitu, jedynie oczy spoglądały jasnym, zimnym spojrzeniem.

– Jak rozumiem zabrał pan dzisiaj księżniczkę Lylę do tygrysiego lasu. – Ręka Vala spoczywała bardzo blisko blastera. – Jak rozumiem potem odegrał pan rolę czułego wybawcy.

– Czy naprawdę wierzy pan w tę wersję? – zapytał Hunter.

– A czy może pan przedstawić jakąś inną?

– Może po prostu spyta pan Lyli. Albo Alonzo. To właśnie Alonzo przybiegł po mnie, prosząc o pomoc, kiedy zobaczył, że ona poszła tam, szukać śmierci.

– Szukać śmierci? – W jego czarnych oczach pojawiło się zaskoczenie. – Ona *chciała* umrzeć?

– Powiem panu, co się stało – powiedział Hunter i opowiedział mu całą historię, pomijając jedynie krępujący incydent z pocałunkiem, wiedząc że Sonig niemal na pewno, również o nim nie wspomniał.

Val siedział w zupełnej ciszy, nawet kiedy Hunter już skończył. Dopiero po chwili powiedział:

– Nie jest moją sprawą komentować charakter Lorda Narfa, ani jego czyny. Została jego żoną z własnego wyboru. Ale sama myśl, że ktoś inny mógł ją wziąć i …

– Wiem. Ale to nie było tak. – Następnie Hunter dodał: – Bardzo dużo pan o niej myśli, nieprawdaż?

Rysy twarzy Vala stwardniały i Hunter pomyślał, że nie odpowie na to pytanie. Po chwili jednak lekko się uśmiechnął, chociaż bez specjalnej wesołości i powiedział:

– Ponieważ przyszedłem tutaj, aby pana zabić, jeżeli uznam, że pan na to zasługuje, wydaje mi się ze jestem zobligowany do tego by odpowiedzieć na pańskie pytanie. Mój stosunek do księżniczki Lyli jest pełnym szacunku podejściem cywilizowanego człowieka do żony innego mężczyzny.

Z tego stwierdzenia wynikał pewien nie do końca chyba zamierzony wniosek, i Hunter wyczuwając go wypowiedział na głos swoje domysły:

– Pan i księżniczka Lyla byliście zaręczeni — jak dawno temu to było?

Na twarzy Vala pojawiło się zaskoczenie, i szybko zamaskowany cień jakby bólu.

– A więc postanowiła wyjawić wszystkim tę informację?

– Nie. Dowiedziałem się tego… z innych źródeł. Nie wiem oczywiście dlaczego przekonał ją pan, aby zerwała zaręczyny… w każdym razie to nie moja sprawa.

– Tak – stwierdził Val, – to nie jest pańska sprawa. Powiem jednak to panu: To nie ja poprosiłem ją o zerwanie zaręczyn. Ale dopóki takie jest jej życzenie, z całą pewnością nie będę jej błagać, aby zmieniła zdanie.

Val wstał, mając zamiar wyjść.

– Jeżeli nie ma pan nic przeciwko temu, to wolałbym raczej aby pan nie wspominał księżniczce Lyli, o mojej dzisiejszej wizycie. Obawiam się, że mój niewczesny przypływ rycerskości, mógłby spowodować, że w jej oczach wyszedłbym na durnia.

Później, po chwili refleksji, Val dodał jeszcze:
– Pan Rockford miał jeszcze jakieś sprawy do załatwienia w mieście.

****

Kiedy Narf w końcu opuścił część domku należącą do Lyli, była już późna noc. Udał się do domku zajmowanego przez Vala i Soniga, bardzo podnieconego Soniga, i niemal natychmiast wyszły z niego dwie osoby, udając się na lądowisko helikoptera. W kilka minut później Hunter usłyszał helikopter odlatujący w stronę miasta. Domek Vala pozostawał ciemny, a po krótkiej chwili światło zgasło również w domku Lyli.

Położył się do łóżka, ale nie mógł zasnąć. Nieustannie stawał mu przed oczyma obraz samotnej, małej księżniczki Lyli, tulącej się do niego w poszukiwaniu pocieszenia i szlochającej, gdy trzymał ją w ramionach. Niespokojnie kręcił się i przewracał z boku na bok, myśląc o godzinach jakie musiała spędzać sama, bez żadnego wsparcia, podczas gdy Narf wylewał na nią potoki swojej nienawiści i gniewu.

Jego duszę opanowała tęsknota za nią, pragnienie by ją wspierać i zawsze chronić. Uczucia nie pozwalały mu zasnąć. Dobrze rozumiał powody tego stanu rzeczy.

Pomyślał z przygnębieniem: *Zakochałem się w niej!*

****

Kiedy Hunter obudził się, Rockford leżał w swoim łóżku, głośno chrapiąc, a na podłodze obok niego stało sześć pustych puszek po piwie. Wyszedł na zewnątrz i zobaczył czekającego na niego Alonzo.

– Oni wszystko już zaplanowali, i na pewno chcą pana dzisiaj zabić, pohuczniku.

– W jaki sposób – krótko zapytał.

– Ostatniej nocy, Lohd Nahf i Sonig pojechać do miasta i Lohd Nahf, on wynajął cztehech paskudnie wyglądających ludzi z blastehami, a Sonig wynajął kolejnych cztehech, swoich hodaków. Oni przywieźli ich z powhotem tutaj, i tehaz oni ukhyli się w lesie. Przywieźli hównież kamehy filmowe z teleobiektywami. A Lohd Nahf śmiał się i mówił, że weźmie dzisiaj ślub z księżniczką Lylą, zanim jeszcze nawet ostygną pańskie zwłoki.

– Naprawdę? – powiedział Hunter. Pomyślał o chrapaniu Rockforda oraz o jego słowach sprzed dwóch dni: *Jeśli zdołasz tak długo przeżyć*. Jak, zastanawiał się, ten leniwy, stary pijaczyna mógł to wszystko tak trafnie przewidzieć?

– A później – kontynuował Alonzo, – Lohd Nahf obudził księżniczkę Lylę — tylko że ja wiem, ze ona nie spać — i powiedział jej, że on ją tehaz pokiehuje, i już zohganizował wszystko, że wezmą ślub dzisiaj, zahaz po

lunchu. I on powiedzieć jej, że ona ma hację co do Sthaży Kosmicznej, i że ma z panem pohozmawiać o tym jeszcze przed lunchem.

Usłyszeli dźwięk otwierających się, a potem zamykających drzwi Narfa, i Alonzo powiedział:

– Ja tehaz już iść, Lohd Nahf może się domyślić, że powiedziałem panu o hóżnych rzeczach.

Kilka minut później Narf i Sonig zeszli ścieżką w kierunku Huntera. Obaj mieli plecaki, bez wątpienia z kamerami w środku, i obaj również nieśli długodystansowe karabiny laserowe.

– Dzień dobry, panie poruczniku! – Narf uśmiechał się szeroko i znów wydawał się być bardzo przyjacielski. – Co do poprzedniej nocy, czasami mężczyzna musi okazać swojej żonie pewną surowość, żeby zrobić na niej większe wrażenie. Zrobiła naprawdę bardzo głupią rzecz — mogła przecież zginąć. Obawiam się, że mój niepokój o nią tak bardzo mną wstrząsnął, że nawet panu nie podziękowałem za sprowadzenie jej z powrotem do nas.

– Piękny mamy dzisiaj poranek, poruczniku! – Sonig uśmiechał się, a jego twarz była tak blisko tego by określić ją jako rozpromienioną, jak tylko pozwalała jej na to natura. – Lord Narf zabiera mnie teraz na polowanie na jelenie — wezmę więc parę lekcji od prawdziwego mistrza. Czy widział pan kiedyś jego kolekcję trofeów łowieckich? Zdumiewająca!

– Ale, wydaje się, że dla sportowca, kolekcja nigdy jest tak do końca kompletna – powiedział Narf. Ciągle się uśmiechał, ale kiedy spoglądał na Huntera, w jego oczach płonął ogień nienawiści. – Jest jeszcze jedna głowa, którą muszę koniecznie zdobyć, i mogę panu powiedzieć w zaufaniu, że mam zamiar zrobić to dzisiaj rano.

Narf i Sonig poszli sobie, kiedy ze swojego domku wyszła Lyla, z bladą i pobrużdżoną twarzą. Val również pojawił się przed domkiem i spotkali się tam, wymieniając powitania. Potem zapanowała cisza, w której żadne z nich wydawało się nie wiedzieć co powiedzieć.

W końcu Val zagaił niezręcznie:

– Słyszałem o tym, co się wczoraj stało, Lylo. Dlaczego poszłaś do tygrysiego lasu?

– Och, wydaje mi się, że po prostu spacerowałam i sama nie zauważyłam gdzie się znalazłam.

– Poszłaś tam, szukając śmierci, czy nie tak?

– Ja… kiedy już nie pozostaje ci nic innego… – Wtedy uniosła głowę w geście dumy i odepchnęła go słowami: – Czy w ogóle powinno to cię obchodzić?

Przez chwilę Val wyglądał jakby otrzymał fizyczny cios. Później to wrażenie minęło i odezwał się głosem zupełnie wypranym z uczuć:

– Nie. Zapytałem o coś, co należy do spraw jedynie twojego męża. Więcej już tego nie zrobię.

Odwrócił się, chcąc wejść z powrotem do domku.

– Val – Szybko dała z nim krok do przodu, jej dumny wygląd gdzieś uleciał, i rozłożyła ręce. – Ja nie miałam zamiaru…

Zatrzymał się i odwrócił w jej stronę z powrotem, i spytał grzecznym, obojętnym tonem:

– Tak?

– Ja tylko chciałam… – Potem ręce jej opadły i całe życie uleciało z głosu. – Jakie to ma znaczenie… czy cokolwiek ma znaczenie?

Pobiegła do swojego domku i zamknęła za sobą drzwi.

****

Od strony drzwi wejściowych za plecami Huntera dobiegł głos Rockforda:

– I jak, mój chłopcze, czy gotowy jesteś do podjęcia swoich dzisiejszych obowiązków?

Wszedł do środka za Rockfordem, który rozsiadł się wygodnie w fotelu i ziewał.

– Miałem raczej zarwaną noc – powiedział. – Wczoraj po południu miały miejsce pewne wydarzenia, które do pewnego stopnia zmusiły mnie do zmiany planów. Albo raczej, powinienem powiedzieć, do przesunięcia ich o jeden dzień.

Z wysiłkiem wyrzucił z głowy myśli o Lyli i zapytał:

– Czy poczynił pan jakieś postępy z Valem Boranem?

– Nie, obawiam się, że nie. Tak prawdę mówiąc, to raczej tego się nie spodziewałem. – Rockford ziewnął ponownie. – Przyszła kolejna wiadomość z Kwatery Głównej. Sytuacja się pogarsza. Co skłania mnie do przypomnienia ci o twoich Najważniejszych Obowiązkach Dzisiejszego Dnia, oraz wyrażenia nadziei, że zostaną one wykonane, oczywiście, jeżeli uda ci się przeżyć.

On jest moim przełożonym – pomyślał Hunter. – *Wygląda, że może nawet przewyższać rangą generała Patrolu Kosmicznego — i jest wyraźnie rozbawiony całą sytuacją, którą ma tutaj rozwiązać.*

– Właśnie teraz – kontynuował Rockford, – Lyla stawia czoła ponurej przyszłości i czuje się jakby na całym świecie nie miała żadnego przyjaciela. Potrzebuje czyjegoś ramienia, by się na nim wypłakać. Weźmiesz ją na spacer i dostarczysz jej tego ramienia…

Dziwnym sposobem, nawet pomimo tego, że rozkaz nie miał nic wspólnego z kryzysem Terrańsko – Verdamskim, nie miał serca by się mu sprzeciwić. Płakała już, zanim jeszcze nawet doszła do drzwi. Później, kiedy już uda mu się ją nieco pocieszyć, zażąda od Rockforda podjęcia zdecydowanych działań w sprawie problemu Verdam. Straci na to co najwyżej godzinę…

– Tak jest, sir – odparł. – Ale dla bezpieczeństwa księżniczki Lyli, byłoby lepiej, gdybym porozmawiał z nią w jej domku. Alonzo widział, jak Narf i Sonig sprowadzili tutaj ośmiu…

– Zawodowych zabójców, którzy mają się tobą zająć – dokończył Rockford. – Wiem o tym wszystko. Wiem również, że Narf ostatniej nocy znalazł czas, by spędzić godzinkę ze swoją ulubioną przyjaciółeczką i przechwalał się jej nawet, że dzisiaj ożeni się z księżniczką Lylą, zanim jeszcze zdążą ostygnąć twoje zwłoki.

Skinął głową i kontynuował:

– Proszę jednak, abyś mimo wszystko zabrał Lylę na kolejny spacer. To ważne. W ten sposób zapoczątkujesz upadek Ludowych Światów Verdam. Przejdziesz do historii, mój chłopcze, jako ten, który uratował Republikę Terrańską.

Hunter wyszedł na zewnątrz, ponownie odnosząc wrażenie, ze jego przełożony bredzi w malignie. Miał bez pytania maszerować naprzód i zostać upieczonym jak hamburger, a dzięki temu wskutek jakichś tajemniczych procesów znanych jedynie Rockfordowi, imperium Verdamskie miałoby zacząć się rozpadać… Pewnie z żalu po nim…

Nie zapukał do jej drzwi. Nie traktował tego nawet, jako pogwałcenia prywatności. Pewnie czuła się zbyt samotna i opuszczona, aby się tym przejmować.

Nie płakała, tak jak myślał. Stała przy oknie, wpatrując się w szarą, rozległą pustynię, a jej oczy zasnuwała taka sama ponura pustka.

– Witaj, Lylo – powiedział.

– Witaj Dale. Właśnie tak sobie rozmyślałam, że dzisiejszy dzień jest dniem, o którym jako kobieta zawsze powinnam marzyć. – Próbowała się uśmiechnąć, ale nie za bardzo jej to wyszło, a w jej głosie pojawił się ironiczny tryumfalizm, – To w końcu dzień mojego ślubu.

– Mówił mi o tym Alonzo.

Wydało się mu nagle, że powinien dodać kilka słów, coś w rodzaju życzeń szczęścia, ale takie słowa byłyby pozbawione znaczenia i groteskowe, i oboje dobrze o tym wiedzieli.

Nie było jednak powodu, aby narażać ją na niebezpieczeństwo, wykonując obłąkany rozkaz Rockforda. Nie miał zamiaru tego robić…

– Ach…, dzień dobry Lylo! – Rockford wyłonił się z drzwi, jowialny jak sam Święty Mikołaj. – Czy wiedziałaś, że Dale chciał zabrać cię, tego pięknego wiosennego poranka, na spacer do lasu, tylko bez wątpienia za bardzo się krępował, żeby ci to powiedzieć. Spraw sobie odrobinę przyjemności, i pójdźcie sobie gdzieś poza nasze obozowisko – zrobił znaczącą przerwę, – dopóki ciągle jeszcze jesteś wolna.

Skierował swój promienny uśmiech w stronę Huntera.

– Nie stój tam jak słup soli, chłopcze, Weź dziewczynę pod rękę i pozwól, niech przejdzie się na ostatni spacer z kimś, kto przejmuje się tym, co się z nią stanie.

Jedna tylko rzecz w wyglądzie Rockforda nie pasowała do roztaczanej przez niego aury czułego paternalizmu: jego oczy, spoglądające na Huntera, były twarde jak kamień, i nie było żadnej możliwości, aby błędnie zinterpretować ich wyraz. Słowa Rockforda nie były ojcowską sugestią, poczynioną dla ich przyjemności. Wydał rozkaz i miał zamiar dopilnować, aby został on wykonany.

****

Hunter i Lyla spacerowali wśród zarośli widmowych drzew i strzałkowych krzewów, oboje przy tym niewiele mieli sobie do

powiedzenia. Hunter coraz bardziej czuł się jak żałosny pajac. Ich wędrówka nie miała żadnego celu, ani powodu, poza zaspokojeniem pragnienia Rockforda by, w sumie już teraz dziesięciu zabójców, miało szansę zaszlachtować pewnego porucznika do jednorazowego użytku.

Kiedy szli przez las, nawet nie objął Lyli ręką. Jeżeli już mają go zabić, to przynajmniej nie chciał dać im satysfakcji ze zdjęć, którymi mogliby ją później szantażować.

Doszli w końcu do niewielkiej polanki, gdzie drzewo chmurzaste uformowało w swoim cieniu zachęcająco wyglądające siedzenie i Lyla powiedziała:

– Nie ważne jak daleko odejdziemy, i tak będę musiała wrócić, żeby stawić czoła sytuacji. Zatrzymajmy się tu na chwilę i odpocznijmy.

Zauważył, że siedzenie jest całkiem nieźle osłonięte, ale z całą pewnością nie całkowicie. Musiało to jednak wystarczyć.

Usiadł kilka stóp od niej na leżącej nieopodal kłodzie, nie chcąc narażać jej na jakieś przypadkowe trafienie.

Nie to, żebym specjalnie entuzjastycznie odnosił się do pomysłu trafienia mojej osoby, w sposób celowy – pomyślał. – *Co to za śmierć dla porucznika Straży Kosmicznej*.

Zastanawiał się, czy chociaż Rockford poinformuje Kwaterę główną o tym, że porucznik Dale Hunter zginął na służbie, podczas wykonywania swoich obowiązków — tak jakby w świetle jakiejkolwiek pokrętnej logiki, ten szaleńczy epizod można było nazwać obowiązkiem — myśląc również o słowach, którymi mogliby opowiedzieć o nim w mowie pogrzebowej…

Okazując nadzwyczajną odwagę, przekraczającą wymagania obowiązku, porucznik Hunter usiadł otwarcie na wierzchołku wzgórza i spokojnie czekał na dziesięciu zabójców, którzy mieli go zamordować…

– Jak tutaj cicho i spokojnie, co nie? – powiedziała Lyla.

Próbował obserwować jednocześnie wszystkie cztery kierunki i stwierdził, że jak tak dalej pójdzie, to przez nieustanne kręcenie głową, sztywny kołnierz bluzy mundurowej, po pewnym czasie, po prostu wyręczy zabójców i sam poderżnie mu gardło. Jednak mimowolnie on również zauważył, że miejsce w którym usiedli, rzeczywiście było — przynajmniej jak na razie — wyjątkowo ciche i spokojne. Nad głowami wisiało złote i ciepłe słońce, powietrze wypełniał słodki zapach jaskrawo ubarwionych kwiatów, dookoła unosiły się olbrzymie tęczowe ćmy, których cienkie bzyczenie brzmiało jak głos tysiąca czarodziejskich fletów.

– Żałuję, że nie urodziłam się jako prosta wiejska dziewczyna – powiedziała Lyla. – Chciałabym mieć takie życie jak one, a nie ten koszmar w który zmieni się moje.

Zadał jej pytanie, na które musiał poznać odpowiedź.

– Kiedyś, miałaś wyjść za Vala i mieszkać na Jardeenie, czy nie tak?

– Ja… a więc moja głupota nie jest już żadnym sekretem?

– Głupota? – zapytał.

– Spotkaliśmy się dwa lata temu, kiedy studiowałam na Akademii Sztuk Pięknych na Jardeenie. Byłam młodsza i dużo bardziej naiwna niż dzisiaj. Myślałam, że jesteśmy w sobie szaleńczo zakochani, że

pobierzemy jak tylko skończę szkołę i będziemy żyli szczęśliwie przez wiele, wiele lat, i wszystkie takie tam sprawy.



– Ale życie potoczyło się zupełnie inną drogą?

– Musiałam złożyć tacie tę obietnicę, a kiedy napisałam o tym Valowi, wydawał się to pochwalać. Nawet nie sugerował, bym wycofała się z małżeństwa przez pośrednika, kiedy nadszedł czas jego zawarcia, ani niczego podobnego. Napisał jedynie, że chyba wiedziałam co robię. Wydawał się nawet odczuwać ulgę, tym że jest wolny i może kontynuować swoją polityczną karierę.

– Rozumiem – powiedział i dodał jeszcze: – Ale z tego powodu nie czujesz się jakoś źle, Lyla?

– Czuć się źle? Nie wyszłabym za Vala Borana, nawet gdyby był ostatnim człowiekiem na Weście! Nawet Lord Narf nie jest tak egocentryczny jak on!

– Za Narfa również nie musisz wychodzić – powiedział. – Wiesz o tym.

Spojrzała w dół, na ziemię, i oznajmiła martwym głosem:

– Złożyłam obietnicę.

– Rockford mówił mi, że twój ojciec tak naprawdę wcale nie znał Narfa, że te kilka razy kiedy się spotkali Narf nałożył na siebie maskę dystyngowanego dżentelmena, z najwyższym szacunkiem odnoszącego się do królewskiej córki.

Nic nie odpowiedziała, więc naciskał.

– Czy rzeczywiście tak było?

– Tak. Tak właśnie było. Ale jak miałam o tym powiedzieć tacie, kiedy leżał na łożu śmierci?

– Nie mogłaś tego zrobić, Lylo. Ale gdyby twój ojciec mógł być tutaj z nami dzisiaj, i wiedziałby to co ty teraz wiesz o Narfie, czy sądzisz że chciałby, abyś go poślubiła?

– Nie… myślę że nie. Ale wydaje mi się, że Lord Narf kocha mnie na swój własny sposób, a to jest więcej niż zrobił dla mnie ktokolwiek inny.

Wtedy ton jej głosu się zmienił i powiedziała:

– Bardzo się cieszę, że przyszedłeś tu dzisiaj ze mną, Dale. Cieszę się, że jest ktoś kto przynajmniej odrobinę troszczy się o to, co się ze mną stanie.

Na jej twarzy pojawiła się przejmująca tęsknota za kimś, kto by ją kochał i pocieszył. Nagle wydało mu się, teraz już bez żadnej wątpliwości, że w całej jego karierze nie czeka go nic innego, poza samotnością. Jak odmienna była ciepła miłość Lyli od zimnej surowości wojskowego życia, z jego nieskończonym korowodem broni i śmierci…

****

Przesunął się, aby usiąść bliżej niej i otoczył ręką jej ramiona.

– Lyla – wyszeptał, – chciałbym ci powiedzieć…

– Dale… – to słowo było łkaniem krańcowej rozpaczy, które rozbiło jej spokój i opanowanie. Przytuliła się do niego mocno, zanosząc się płaczem. Hunter usłyszał jej stłumione, przerywane szlochem, słowa, dobiegające z mocno wciśniętych w jego pierś ust: – Pomóż mi Dale! Jak mogłabym wyjść za to sadystyczne bydlę, jeśli jest ktoś inny, bez kogo nie mogę żyć — a on nawet nie wie, że kocham go nad życie!

– Kiedy on wie! – wziął ją jeszcze mocniej w objęcia. – On wie i kocha cię nawet bardziej niż ty jego.

– Czy jesteś tego pewien? – Podniosła zalaną łzami twarz, z której zaczęła przebijać nadzieja, jak światło słoneczne przez chmury. – Czy jesteś naprawdę pewien, ze po tym wszystkim Val ciągle jeszcze mnie kocha?

– *Val*?!

Odkrycie to było tak oszałamiającym wstrząsem, jak podmuch strzału blastera przechodzący dwa cale nad głową. Jego marzenia nagle pierzchły a w uszach słyszał przez moment tylko dudniący huk. Nadal trzymał ją w geście pocieszenia, ale nagle wydało mu się to strasznie dziwne — to on powinien w zasadzie szukać u niej wsparcia…

– Dale… co się stało?

– To dlatego, że myślałem… – z trudnością przełknął ślinę. – Myślałem, że to co mówiłaś… że to byłem…

Coś szarpnęło go za czubek głowy. Tym razem to już z całą pewnością był prawdziwy podmuch strzału z blastera, przechodzącego mu tuż nad głową. Rozległ się straszliwy trzask, kiedy promień rozszczepił znajdujące się za nimi drzewo. Potem kolejny huk i eksplozja fragmentów poszycia lasu, kiedy po pierwszym nadleciał drugi promień.

Stoczył się z kłody, ciągnąc za sobą Lylę. Strzałkowe krzewy osłoniły ich nieco. Dało im to wystarczająco dużo czasu, aby udało im się dotrzeć do chwilowego schronienia w niewielkim zagłębieniu terenu.

– Dale! – Jej ciemne oczy rozszerzyły się z zaskoczenia, a jedna z małych stóp była bosa, ponieważ gdzieś w tym zamieszaniu zgubiła sandał. – Ktoś do nas strzelał!

Przez głowę przemknęła mu myśl:

„A więc jednak Narf ma w końcu swoje zdjęcia."

– Pohuczniku – nadbiegł Alonzo. – Oni są z tamtej sthony, rozphaszają się, żeby mieć pewność, że pana zabiją.

Alonzo wskazał nosem, ten ruch zdawał się pokrywać całe znajdujące się za nimi wzniesienie terenu. Przynajmniej wróg nie odciął ich od obozu. Jeszcze nie.

Dobiegł do nich daleki krzyk, rozkaz Narfa dla jego ludzi:

– W*szyscy, dalej w dół tego grzbietu! Wejść między Huntera i obóz!*

– To on! – Jej palce pochwyciły go mocno za rękę. – Chce, żeby cię zabili!

Strzelali ze zbyt dużej odległości, aby mógł odpowiedzieć ogniem ze swojego blastera. Nie był w stanie odeprzeć ich ataku w miejscu, w którym się znajdowali.

– Muszę spróbować przedostać się w jakieś miejsce bliżej nich – powiedział. – Wrócę tu…

– Nie! – Jej uścisk na jego ręce jeszcze się wzmocnił. – Nie zostawiaj mnie, Dale. Nie pozwól im, żeby mnie tutaj znaleźli.

Spojrzał w dół, przez całą długość zagłębienia. Był to w zasadzie mały żleb, a w jego dolnej części rozpoczynał się las drzew widmowych. Las był gęsty i dawałby dobrą osłonę, ale na całej długości żlebu rozciągały się sidła kolczastych pnączy, zalegających w bujnych, dziko najeżonych cierniami zwojach, pokrywających koryto z ostrych skał oraz piargów. Absolutnie nie dałaby rady wyskoczyć z miejsca w którym się kryli i na czas dobiec do bezpiecznego schronienia drzew widmowych.

Narf miał już swoje zdjęcia. Co mógłby więc jej zrobić, kiedy ją złapie, niesiony szaleństwem swojej nienawiści i tryumfu?

– W porządku, Lyla – oznajmił uspokajającym tonem. – Zobaczymy, czy uda nam się dostać do tych drzew…

****

Za nimi i wzdłuż obu stron żlebu rozlegały się głośne trzaski, a odłamki skał wylatywały wysoko w powietrze. Ogień trwał nieustannie, co prawda rozproszony, ale na tyle stały, że skutecznie odcinał im drogę w innych kierunkach. Wyciągnął więc blaster i powiedział:

– Wydaje się, że bardzo nie chcą pozwolić nam uciec.

Ustawił regulator siły ognia blastera, na najniższą intensywność, tak by jego wystrzały nie wyrywały ze skał, rozlatujących się na wszystkie strony kamiennych odprysków. Zielone, twarde pnącza cięło się z trudem, a

tymczasem uciekały im cenne minuty, podczas których nie mający takich przeszkód zabójcy mogli dobiec do miejsc z których widoczny byłby dla nich cały żleb, tak by można było pokryć go ogniem.

Alonzo, ignorując niebezpieczeństwo, poruszał się wzdłuż żlebu, tuż pod jego górną krawędzią, obserwując postępu wroga i meldując o nich Hunterowi.

– Są już w połowie dhogi, pohuczniku, tehaz mogą biec już szybciej…

Dotarli do dolnego krańca żlebu. Ostatnie z pnączy zostało rozcięte i przed nimi rozciągał się las drzew widmowych.

Na pożegnanie dotknął jej policzka.

– Biegnij do domu, jak tylko możesz najszybciej.

Kiedy to mówił, ogień raptownie ustał. Zapadła złowieszcza cisza. Przybiegł do nich Alonzo, a jego głos w szaleńczym pośpiechu, przechodził niemal w skowyt.

– Dotahli niemal do miejsca, z któhego nas widzieć! Musimy ją stąd wydostać, pohuczniku, sthasznie szybko!

****

– *Lyla*!

Był to głos Vala, aż ochrypły od troski o nią. Wybiegł spomiędzy widmowych drzew, a cała jego niewzruszona obojętność znikła bez śladu.

– Kochanie, czy nie jesteś ranna… czy czasami nie jesteś ranna?

– *Przyszedłeś tu po mnie*! – wyszeptała te słowa, jej twarz cała jaśniała blaskiem. Potem pobiegła mu na spotkanie, z rozpostartymi rękoma, krzycząc: – *Val ... och, Val*…

Otoczyli się nawzajem ramionami.

W tym momencie las niemal wyleciał w powietrze, kiedy dziesięć blasterów postawiło zaporę ogniową, aby zablokować każdą możliwość ucieczki do obozu.

– Spróbuję trochę ich zająć, tak byście mieli szansę, na przedarcie się – szybko rzucił Hunter. – Bądźcie gotowi, kiedy nadarzy się okazja.

Pobiegł w kierunku linii strzałów, wykorzystując osłonę zapewnioną przez gęste poszycie na obrzeżu lasu drzew widmowych. Powinni być już niemal w zasięgu jego broni…

Ponownie ogień nagle ustał, tak jakby na czyjś sygnał. Potem usłyszeli wściekłe wrzaski Narfa:

– *Czy to jest ten jej Boran ? Zabić go również!*

Sonig zaklął z gorzką wściekłością

– *Jeżeli ucieknie choćby jeden świadek, Jardeen będzie stracony dla Verdam, a przy tym nas wszystkich czeka szubienica!*

Na sekundę zapadła cisza, a po niej rozkaz Narfa:

– *Zabić także kobietę!*

Kiedy ponownie otworzyli ogień, las zalał huk jak w trakcie burzy. Ziemia drżała, a rozlatujące się na wszystkie strony odłamki skał, wypełniły powietrze. Hunter biegnąc ciągle w kierunku wroga, pod osłoną

drzew, widział jak Val próbuje osłaniać Lylę i zapewnić bezpieczeństwo. Zobaczył jak oboje zostali rzuceni o ziemię, kiedy tuż przed nimi eksplodowało jakieś drzewo. Mogli już nie żyć, albo nie byli w stanie zerwać się na nogi i biec dalej…

****

W końcu pojął całość planu Rockforda, i zrozumiał na czym miały teraz polegać jego obowiązki. Wiedział już dlaczego Rockford powiedział mu dzisiaj: *„Zostaną one wykonane, jeżeli uda ci się przeżyć”*.

I w jego duszy pojawiło się chłodne uczucie, że chyba jednak ich nie wykona.

Złapał głęboki oddech i ruszył w stronę wroga, wybiegając spod osłony drzew widmowych na otwarty teren, gdzie musieli go dokładnie widzieć. Jego blaster pluł nieustannym ogniem, który padał tylko nieco za krótko, przed samymi pozycjami nieprzyjaciół, co wskazywało, że jeśli nie zostanie zatrzymany, w ciągu kilku sekund znajdzie się wystarczająco blisko, aby zacząć ich zabijać.

Cały ogień skoncentrował się teraz na nim, co stwarzało Lyli i Valowi szansę ucieczki. Biegł przez piekło wybuchów, skręcając i robiąc gwałtowne uniki. Ziemi drżała mu i falowała pod nogami, podczas gdy ostre jak brzytwa odłamki skał, jak szrapnele wypełniały swoim wyciem powietrze, sprawiając wrażenie śmiertelnych skowytów.

Coś szarpnęło go za ramię, obróciło nim i rzuciło jak kulę do kręgli, na ziemię. Przekoziołkował kilka razy, zerwał się na nogi, bez przerwy strzelając, tak jak wcześniej, i pobiegł dalej dzikimi zakosami.

Kolejne trafienie uderzyło go w bok głowy, i ponownie runął na ziemię. Próbował podnieść się i wycofać, ale ogarnęła go ciemność, której pomimo uporczywych wysiłków nie był w stanie się oprzeć.

Wydawało mu się, że w pewnej chwili, odgłosy strzelaniny nagle ucichły, a w ich miejsce usłyszał ochrypłe brzęczenie policyjnych paralizatorów. Zdało mu się jeszcze, że w górze zobaczył helikoptery, noszące na sobie jasne niebieskie insygnia Straży Królewskiej. Potem nie było już niczego, tylko ciemność.

****

Na krótką chwilę wrócił do przytomności, ciągle oszołomiony, jakby we śnie. Znajdował się w helikopterze Straży Królewskiej, a obok niego siedział uśmiechnięty Alonzo, który zauważył jego ocknięcie się, i powiedział do niego:

– Będzie pan O.K., bahdzo mnie to cieszy. A moja księżniczka Lyla — niech pan tylko na nią popatrzy, pohuczniku!

Dopiero wtedy spostrzegł Lylę, trzymali się za ręce z Valem, a jej twarz promieniała pięknem ponownie odnalezionego szczęścia. Nachyliła się nad nim i pocałowała go, mówiąc:

– Dale… Dale… czy kiedykolwiek zdołamy ci się odwdzięczyć, za to co dla nas zrobiłeś?

****

Kiedy ciemność rozwiała się po raz kolejny, leżał cały w bandażach, na łóżku w kącie sali audiencyjnej, a do jego uszu dolatywał głos Rockforda, mówiącego:

– … gotowy zacząć, za chwileczkę.

Sala była wypełniona członkami dworu królewskiego, przybyłymi na ślub. Wśród nich widać było również dostojników Kościoła Vesty, którzy mieli udzielać samego ślubu. Potem zobaczył siedmiu ponurych starszych ludzi, siedzących przy stole, w dalszym końcu sali.

Rada Królewska, posiadająca władzę sądowniczą w zakresie przestępstw przeciwko Koronie. Pozwalała ona nawet na wydawanie wyroków śmierci.

Właśnie na wpół wyprowadzano, na wpół wynoszono sprzed ich twarzy Soniga.

Obecnie przed radą stał Narf, pieczołowicie pilnowany przez innego członka Straży, mówiący tonem pełnym jednocześnie niedowierzania i szyderstwa:

– Czy to jest mój wyrok?

– Zasądzona zostaje również kara dodatkowa – powiedział jeden z członków Rady. – W świetle zbrodni oskarżonego, sprawiedliwym wydaje się, aby został on poddany mękom aż do śmierci…

Reszta jego słów utonęła w ponownej fali ogarniającej go ciemności. Zanim jednak zupełnie opuściła go świadomość, kiedy wszystko inne w sali już się w niej rozpłynęło, usłyszał krzyk Narfa. Wycie protestu, podobne do zwierzęcego, ochrypłe, dzikie, przepełnione udręką…

****

– Ach… zaczynasz z tego wychodzić, mój chłopcze.

Nad nim stał Rockford.

– Dali ci dawkę rewitalizatora, czterdzieści osiem godzin temu, jeszcze na Veście. Skutki jego działania powinny ustąpić za kilka chwil i rozjaśni ci się w głowie.

Usiadł wyprostowany i zawroty głowy szybko minęły. Zobaczył, że jest w kabinie statku międzygwiezdnego, i zdał sobie sprawę, że leci na Ziemię.

Oraz, ze Vesta i brązowooka Lyla, były już tylko przeszłością…

– Nie patrz tak smutno, mój chłopcze – powiedział Rockford. – Otrzymasz należne ci uznanie i awans, za bezcenną rolę, jaką odegrałeś w moim planie.

– Ale…

– Wiem, wiem. Ale ona nigdy nie była twoja. Zobaczysz jeszcze, że życie pełne jest takich zawodów miłosnych, jak ten, mój synu.

Wzruszył ramionami i kontynuował.

– A my wypełniliśmy naszą misję. Zbrodnia Narfa, w pełni unieważniła małżeństwo przez pośrednika. Potem, jeszcze tego samego dnia, Lyla ustanowiła nowy precedens, poślubiając Vala. Ziemia nigdy jeszcze nie miała dwojga takich lojalnych i wdzięcznych przyjaciół, jak Lyla i Val.

– Wiedziałeś o nich wszystko, czy nie? – zapytał.

– Służba Strategiczna musi wiedzieć wszystko. Wiedziałem również, że ciągle są w sobie zakochani, chociaż byli zbyt dumni, żeby się do tego przyznać. Dlatego właśnie tak usilnie nalegałem na Vala, aby przybył na Vestę. Potem, to już była jedynie kwestia użycia ciebie do uświadomienia Valowi faktu, że ona nie kocha Narfa. No i oczywiście zatroszczenia się o różne szczegóły, takie jak sfałszowanie oficjalnego wezwania helikopterów, tak by przybyły dwie godziny przed czasem, pozwalając Valowi, by znalazł ją w odpowiednim miejscu i czasie, i tak dalej, i tak dalej.

Rockford uśmiechnął się do niego.

– A ty chyba w końcu zrozumiałeś, że umysł starego człowieka, może być potężniejszy niż floty kosmiczne imperium Verdamskiego, a droga obowiązku dająca najlepsze wyniki, może być czasami bardzo okrężna.

Pomyślał o bladym jak ściana Sonigu i pełnym udręki wyciu jakie słyszał wydobywające się z gardła Narfa.

– Przypuszczam, że Narfa i Soniga od razu powieszą?

– Bez wątpienia Rada chętnie by to zrobiła. Ale Lyla była taka szczęśliwa, i tak usilnie błagała Radę, aby dała im bardzo lekkie wyroki — albo wręcz pozwoliła im odejść wolno. Zasugerowałem więc pewien kompromis. Rada Królewska uznała, że doskonale pasuje on do zaistniałej sytuacji.

– A na czym miałby on polegać?

– W przypadku Soniga, rezygnacja z kary. Przeprowadzona przez niego próba zamachu, będąca wiadomością istotną dla dobra publicznego, zostanie ogłoszona na Weście i innych światach, włącznie z opartym na faktach, bezstronnym opisem udziału w niej Soniga. Zaraz po tym, Sonig zostanie odesłany na Verdam i wydany swojemu własnemu, życzliwemu rządowi. Vesta nie wysunie żadnych oskarżeń.

– Ale Sonig utracił dla swojego rządu Jardeena. Stracą go za to!

– Taaak. Ja również bardzo się tego obawiam. No cóż, czy nie moglibyśmy określić tego poetycko, jako sprawiedliwości?

– A co z Narfem?

– Otrzymał wyrok dożywotniego wygnania do swojej posiadłości na Morskiej Wyspie. Otoczony będzie wszelkimi wygodami, do jakich przywykł, włączając w to pełen zestaw służących. Będzie nadal mógł tam cieszyć się całym swoim majątkiem, razem z galerią nagich portretów,

swoimi nieprzyzwoitymi filmami, pornograficzną biblioteką, i tak dalej. Faktycznie, ponieważ jest tak zafascynowany pornografią i jest jej takim kolekcjonerem, każdy pornograficzny materiał, który będzie dostępny na Weście w przyszłości, natychmiast zostanie mu przesłany.

– To nieprawda… Słyszałem, że mają go męczyć na śmierć.

– Nie „na śmierć”. To brzmiało „do śmierci”. A to jest pewna różnica.

– Ale ten zwierzęcy ryk, jaki z siebie wydał…

– Ach… to z powodu jednej niewielkiej, lekko restrykcyjnej, kary dodatkowej, do łagodnych warunków jego wygnania. Zanim tam dotrze, z jego posiadłości mają zostać usunięte wszystkie kobiety, pozostawiając jedynie męską służbę. Łodzie patrolowe dopilnują, żeby tak długo, jak długo będzie żył, żadna kobieta nie stanęła nawet stopą na Morskich Wyspach.

Rockford uśmiechnął się ponownie.

– Lord Narf osiągnął sukces, przekraczający nawet jego najśmielsze marzenia. Przynajmniej jeśli chodzi o jego chłopięcą przysięgę, że zawsze będzie prawdziwym mężczyzną otoczonym prawdziwymi mężczyznami.

KONIEC